



Gertruda. R. Sławek

Łzy Boga Słońca

I

Z głębokiej zadumy wyrwał go melodyjny głos zegarowego kuranta. Już siódma - pomyślał z niechęcią. Odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na wkręconą w maszynę kartkę papieru. Było tam napisane tylko jedno zdanie. Wyjął kartkę i zmiął ją w niewielką kulkę, którą cisnął w kierunku kosza. Nie trafił. Kulka potoczyła się gdzieś za biurko. Nie chciało mu się wstać, aby ją podnieść.

Siedział tak już ponad godzinę. A miał zamiar solidnie dziś popracować.

Jak dotąd, nic z tego nie wychodziło. Może to przez tę burzę? W pokoju było duszno. Wstał powoli, przeciągnął się, sięgnął po papierosa, ale, po pierwszym zaciągnięciu się zgasił go. Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Nie zauważył przedtem, że po burzy zostały jedynie strzępy chmur znikające za lasem. Usłyszał buczenie kolei i za chwilę zobaczył wagony podążające z łośkotem w kierunku Warszawy. Zamyślił się. Jego wydawca już od dwóch miesięcy czekał bodaj na parę rozdziałów nowej powieści.

Tymczasem on od pół roku nie był w stanie sformułować nawet najbanalniejszej myśli. Co się stało z talentem tak poczytnego pisarza jak Piotr Werner? Na coraz bardziej niecierpliwe telefony wydawcy odpowiadał byle jakimi wykrętami.

Wiedział, że nie potrafi zdobyć się na nic i wiedział nawet dlaczego. Jego myśli zajmowała tylko Klara, a nie można powiedzieć, by wpływało to korzystnie na jego pracę. Od pół roku on, pięćdziesięciodwuletni mężczyzna, zachowywał się jak niedorostek. Jediną wynikającą z tego korzyścią była większa dbałość o strój, co uprzejmymi uśmiechami kwitowali koledzy w klubie. Musiał przyznać, że Klara zabrała mu spory szmat życia. Stwierdzenie, że ją kochał, byłoby chyba przesadą. Po prostu było im ze sobą dobrze. Przeważnie. Każdego kolejnego dnia ich wzajemny stosunek był taki sam jak pierwszego. Cały czas jednak miał niejasne przecucie, że oczekiwała kogoś innego...

Próbował już kilka razy z nią zerwać. Ale znowu się spotykali. Lubił powtarzać jej swoje najskrytsze myśli i słuchał z uwagą jej odpowiedzi. I znowu było im ze sobą dobrze...

Kolejne uderzenie zegara oznajmiło dziewiętnastą trzydzieści. O ósmej był umówiony w Warszawie w klubowej kawiarni na Rutkowskiego, zwanej popularnie „Pod Piórem”. Ot, taka zwykła towarzyska pogawędka. Było trochę tych problemów, którymi chciał się z kimś podzielić. Zamknął okno. Pospiesznie wrzucił do aktówki kilka papierów, wziął z biurka kluczyki od wozu i wyszedł z domu, zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi wejściowe. Jego fiat w modnym kolorze yellow bahama stał na zwirowanym podjeździe. Wyjechał na ulicę. Wyszedł jeszcze i, zamykając bramę, pomyślał, że to idiotyczne, bo stare ogrodzenie z siatki stanowiło zaledwie prowizoryczne zabezpieczenie.

Po dwudziestu pięciu minutach jazdy zarejestrował machinalnie, że jedzie Aleją Krakowską, potem minął Plac Narutowicza i wjechał w Aleje Jerozolimskie. Skręcając w lewo spojrzał na zegarek i pomyślał z zadowoleniem, że będzie prawie punktualnie. Zaparkował na Rutkowskiego naprzeciw lokalu. Podniesieniem ręki skwitował zwykłe „witam, witam” szatniarza i mrużąc oczy wszedł do jasno oświetlonej sali.

Znalezienie wolnego stolika nie nastęczało o’ tej porze żadnych trudności, bowiem za dwie godziny lokal kończył normalną działalność, ustępując miejsca kabaretowi „Pod Egidą”. Nie zauważył żadnych znajomych.

Zanim zdążył sięgnąć po kartę, zjawił się kelner i nachylając się szepnął konfidentycznie:

- Pani wyszła przed piętnastoma minutami. Prosiła o telefon, bo ma coś ważnego.

- Nic więcej?

- Nie. Ale wyglądała na trochę... jakby to powiedzieć... zdenerwowaną...

- Dziękuję. Niech mi pan poda coś do jedzenia, a potem kawę.

Kelner oddalił się. Za chwilę wszedł szatniarz, rozejrzył się uważnie po

sali i podszedł do stolika.

- Telefon do szanownego pana. Mężczyzna.

Przechodząc do hallu Werner odruchowo spojrzął na zegarek. Była dwudziesta dwadzieścia. Wziął słuchawkę.

- Werner. Słucham... Tak. Rozumiem... No cóż, bardzo żałuję, ale skoro pan nie może... Nie, nie szkodzi, nie ma za co. Mam jeszcze coś do załatwienia. Dobrze. Do widzenia.

Nacisnął palcem widełki. Wykręcił numer Klary. Natychmiast podniosła słuchawkę, jakby tylko czekała na sygnał, i kiedy wymówił swoje imię, powiedziała szybko:

- Musisz zaraz do mnie przyjechać. Wrócił Adam. Tak. Dziś rano...

Czekałam na ciebie. Musimy coś postanowić.

- Będę za chwilę.

Oznajmił kelnerowi, że rezygnuje z posiłku, zostawił na stoliku banknot i po chwili jechał już w kierunku placu Unii Lubelskiej, gdzie mieszkała Klara.

II

Zaledwie ucichł szum samochodowego silnika, z zarośli, po drugiej stronie drogi wynurzył się cień. Mężczyzna przeskoczył rów i zdecydowanym krokiem zbliżył się do ogrodzenia. Przesunął ręką po słupku furtki szukając dzwonka. Z kieszeni kurtki wyciągnął latarkę. W jej świetle ukazał się przycisk umieszczony pod mosiężną tabliczką z wygrawerowanym napisem: „Piotr Werner. Literat”. Zgasił latarkę i kilkakrotnie nacisnął guzik dzwonka. Odczekał chwilę, po czym zręcznie wspiął się na ogrodzenie i zeskoczył na ścieżkę.

Brzegiem trawnika obszedł dom i znalazł się na jego tyłach. Zatrzymał się.

Oceenił odległość od ziemi. Trochę za wysoko - pomyślał. Zbliżył się do płotu oddzielającego sąsiednią posesję i schylił się, jakby czegoś szukał.

Wyprostował się, wykonując jednocześnie ramieniem szeroki zamach.

Rozległ się ostry brzęk tłuczonej szyby. Przykucnął pod płotem. Gdzieś

daleko zaszczekał pies...

Mężczyzna podszedł do starej wiśni, wziął rozkładaną drabinę ogrodniczą i ustawił ją pod oknem. Zdjął buty, wszedł na kilka szczebli, włożył rękę przez otwór w szybie i otworzył okno. Po chwili znalazł się w łazience. Przeszedł do hallu, cicho stąpając zbliżył się do jednych z czworga drzwi. Pchnął je ostrożnie... ustąpiły. Błysnął na chwilę latarką.

Światło wydobyło z ciemności masywne biurko, regały z książkami, piętrzącymi się aż pod sufit, i odbiło się w szybie dużej gabloty stojącej w głębi. Ruszył w tamtym kierunku. Po drodze zawadził nogą o fotel i, aby nie upaść, oparł się dłonią o blat biurka. Zaklął w duchu. Już po omacku dotarł do gabloty i skierował snop światła na szybę. Na granatowym suknie wyściełającym dno gabloty leżały równo poukładane klucze o dziwnych kształtach, emaliowana, ozdobiona miniaturami tabakierka, mała mosiężna busola, błyszcząca plakietka, kilka broszek wyglądających na złote, klamra od pasa i kilkanaście innych przedmiotów, których przeznaczenia i pochodzenia nawet się nie domyślał.

Jeszcze raz przejrzał te wszystkie drobiazgi, teraz już bardziej gorączkowo poruszając latarką. Wyraźnie nie znajdował tego, o co mu chodziło.

Poczuł, że robi mu się gorąco. Nie gasząc latarki podszedł do biurka i wysunął po kolei kilka szuflad. Zajrzał pod papiery. Znowu nic. Nagle drgnął. Oświetlił tarczę zegarka: dochodziła dwudziesta dwadzieścia.

Otworzył leżącą na biurku książkę telefoniczną, chwilę szukał, potem sięgnął po słuchawkę. Poprosił o przywołanie pana Wenera.

- Dobry wieczór... To ja. Bardzo pana przepraszam, ale tak się złożyło, że niespodziewanie ktoś do mnie przyszedł, i... rozumie pan... Przepraszam jeszcze raz, bo chyba skomplikowałem panu wieczór... Może umówimy się na inny dzień? Tak? No, to do zobaczenia.

Powoli odłożył słuchawkę. A więc nic z tego - pomyślał.

Tego nie przewidywał. Już bez kolizji z meblami wy dostał się z gabinetu, wyszedł przez okno łazienki na drabinę i przez wybity otwór zamknął starannie

okno. Na dole włożył buty, odstawił na miejsce drabinę i wkrótce znalazł się na ulicy.

Po kilkunastu minutach wszedł na pusty peron stacyjny. Na ławce starszy mężczyzna w zniszczonym ubraniu spał z nasuniętym na czoło kapeluszem. Ścisnął kurczowo kolanami zasmoloną teczkę. Drugą ławkę zajmowała jakaś para dość dokładnie zajęta sobą. Stał w cieniu słupa podtrzymującego dach i zapalił papierosa. Miał jeszcze kilka minut do nadejścia pociągu. Wreszcie ujrzał zbliżające się światła. Pociąg zahamował, rozsunęły się automatyczne drzwi wagonów. Nikt tu nie wysiadał. Wskoczył do pustego prawie wagonu i usiadł przy oknie.

Właściwie pech prześladował go od początku tej całej niemal nieprawdopodobnej historii. Oto przed dwoma laty spędzał wakacje na Helu. Mieszkał u jednego z bogatszych Kaszubów. Opalał się, trochę wałęsał po wydmach, próbował od czasu do czasu przekonać rybaków, by zabrali go na połów, a wieczorami sięgał przeważnie po książki, których - o dziwo - było u gospodarza dość dużo. Przypadek sprawił, że w jednej z nich, niemieckiej zresztą, drukowanej w 1825 roku - do dziś pamiętał jej tytuł: „Tas-chenbuch zur Verbreitung geographischer Kennt-nisse” - natrafił na kawałek papieru, który po bliższych oględzinach okazał się obszernym fragmentem jakiegoś listu. Z nudów zabrał się do badania tekstu pisanego dość dziwnym stylem. Zdołał wywnioskować z niego, że autorem był jakiś kupiec z Gdańska, a list adresowany był do syna, a może do żony lub do kogoś z rodziny. Tekst zaczynał się zakończeniem sprawozdania o interesach poczynionych w Lubece, a dalej była aluzja do szafy z kolumnami i gryfem, którą autor listu polecał

„szczególnej pieczy” adresata:

„... nie tak bowiem szafa, choć bardzo zacna, ma być z troską chroniona, jak owo schowanie, o którym ci wiadomo, a które uczyniłem dla pomieszczenia tysiąca guldenów, szczególnie dla pięknego i rzadkiego stempla dobranych. Tedy schowanie odkryć możesz nożykiem, takóž gryfem u rękojeści

opatrzonym...” Dalej było jeszcze kilka na pół czytelnych zdań, z których mógł się z pewnym trudem domyślić, że zawierały wskazówki odnośnie okoliczności, w jakich skrytka mogła być otwarta, a umieszczone tam złoto wykorzystane. Tamtej nocy nie mógł zasnąć. Ukrył starannie papier na dnie walizki, a książkę wcisnął za inne stojące na półce. Kilka następnych dni spędził w strachu, czy kradzież się nie wyda. Oznajmił wreszcie gospodarzom, że otrzymał wiadomość z Warszawy, wzywającą go pilnie do powrotu, zapłacił również za nie wykorzystane dni i w pośpiechu wyjechał. W Gdańsku odwiedził wszystkie muzea i sklepy „Desy”. Bezskutecznie. Próbował nawiązać rozmowy w kilku prywatnych antykwariatach, pytając o gdańską szafę z gryfem, ale wszędzie zbywano go wzruszeniem ramion. Był jeszcze w kilku innych miastach, z których wyjechał z tym samym rezultatem. Głos rozsądku nakazywał mu zaprzestać tych poszukiwań; tłumaczył sobie, że gdyby nawet udało mu się odnaleźć szafę, to istnienie tam jeszcze do dziś cennej zawartości byłoby - po niemal dwustu latach - prawie wykluczone. A jednak nie potrafił z nich zrezygnować. Wizja złota zaćmiła mu umysł. W przerwach między wyjazdami, a i w czasie podróży, czytywał wszystko, co mógł zdobyć na temat gdańskich mebli - książki, katalogi, opracowania historyczne polskie i zagraniczne. Aż wreszcie udało się.

Będąc przed tygodniem przejazdem w Dąbrowie odwiedził miejscowe muzeum. Właściwie na nic już nie liczył. Chciał jedynie w sensowny sposób wypełnić czas do odjazdu pociągu. Nie od razu ją zauważył. Stała w ostatniej, niezbyt dobrze oświetlonej sali. Kiedy spostrzegł pękate kolumnienki w środkowej części, a między nimi, u góry, rzeźbionego w ciemnym drzewie gryfa, serce podskoczyło mu do gardła. Gdyby nie to, że w sali znajdowało się jeszcze kilka osób, rzuciłby się chyba do tego mebla i zaczął próbować zamków i manipulować fragmentami rzeźb, które pokrywały przednią ścianę.

Rozejrzał się po sali. Przy drzwiach siedział na stołku stary człowiek w urzędowej czapce na głowie. Podeszedł do niego.

- Nie wie pan, gdzie mogę znaleźć kierownika?

Stary przyjrzał mu się dokładnie i powoli, kładąc nacisk na pierwsze słowa, powiedział:

- Pan kustosz jest dziś nieobecny. Ale może ja panu pomogę? Pracuję tu prawie całe życie...

- Interesuje mnie ta szafa. Z kolumnami. Pewnie musi być bardzo stara?

Człowiek podniósł się i powłócząc z lekka nogami podszedł do wskazanego mebla.

- Stara, nie stara. Ma akurat tyle lat, co trzeba. To gdańska szafa z dość rzadkim ornamentem. Jest tylko bardzo zniszczona. Pan kustosz odkrył ją niedawno gdzieś na wsi. Stała tam w sieni, a właściciele trzymali w niej różne rupiecie. Nie umieli nawet powiedzieć, skąd się u nich wzięła. Chętnie ją sprzedali, radzi, że pozbywają się grata. A ta szafa warta jest dziś sporo pieniędzy...

- Czy ma jakąś historię?

- Sam fakt, że istnieje, to już historia. Wiele innych, ciekawszych, znajdzie pan w muzeach na przykład w Gdańsku. A po co to panu? - dodał patrząc podejrzliwie.

- Tak, z prostej ciekawości... Przecież ten mebel kiedyś komuś służył.

Stały tam jakieś naczynia, może leżały ważne papiery, a może trzymano w niej pieniądze...

- Może. Niejednych wydarzeń była świadkiem. No, a teraz doczeka się remontu.

- Jak to? ‘

- A tak. Zainteresował się nią konserwator wojewódzki. Uznał, że warto w nią włożyć jeszcze trochę pieniędzy...

Raczej wyjąć - pomyślał z wewnętrznym chichotem.

-... rozebrać na kawałki, każdą deskę zakonserwować i odświeżyć.

Wtedy będzie warto ją zobaczyć!

Teraz dopiero pojął znaczenie tych słów.

- Kiedy to się ma odbyć?

- Co? Ten remont? Gdzieś pod koniec września, ale ja przypuszczam, że odwlecze się do po 1owy października. No, może do siódmego... Niech pan wpadnie wtedy, a nie pożałuje pan.

A więc była! Istniała naprawdę! W głowie kłębiły mu się różne pomysły.

Włamać się do muzeum... wziąć jakieś narzędzia. Popracować choćby całą noc, nawet gdyby przyszło porozbijać ją na kawałki. Ale nie! Taki hałas postawiłby na nogi całe miasteczko. A i w samym muzeum z pewnością ktoś nocuje. Przecież stoi tam nie tylko ta szafa. A poza tym nie zdołałby zatrzeć śladów. Milicja nie miałaby z tą sprawą wielu kłopotów. Apel w radio czy telewizji i ludzie zaczną sobie przypominać, czy w okolicy nie widzieli kogoś podejrzanego. Stary strażnik na pewno go zapamiętał.

Wszyscy chętnie pomogą milicji, chodzi przecież o cenne dzieło sztuki.

Co robić? Wczytał się jeszcze raz w tekst listu, który znał prawie na pamięć. Doszedł do zdania: „Tedy schowanie... odkryć możesz... nożykiem...” Przecież „odkryć” to znaczy otworzyć, a gryf na rękojeści sztyletu musi być kluczem lub klamką pasującą do gryfa na szafie! Ale gdzie i jak szukać tego przeklętego gryfa? To już nie szafa, ale przedmiot najwyższej trzydziestocentymetrowej długości, jeśli nie mniejszej.

Przypominał sobie gorączkowo, czy w odwiedzanych muzeach i sklepach nie widział czegoś takiego. Co prawda, wówczas myślał tylko o szafie... ale nie - taki sztylet wpadłby mu na pewno w oko. Może u któregoś ze znajomych? Też chyba nie. Paru miało na ścianach stare szable czy pistolety, ale sztyletu nie pamiętał.

Zaplanował jeszcze kilka wyjazdów, ale na razie nie mógł ruszyć się z Warszawy. I oto przechodząc przedwczoraj Nowym Światem rzucił machinalnie okiem na wystawę sklepu „Desy”. Zawrócił tak gwałtownie, że zderzył się z jakimś starszym panem, który ostro i dość niewybrednie sformułował parę

poglądów, określających jego stosunek do takiego sposobu zmiany kierunku ruchu. Przeprosił pospiesznie, cały czas wpatrzony w okno wystawowe. Leżał tam mały sztylet z rękojeścią w kształcie skrzydlatego lwa. Jak nieprzytomny rzucił się do drzwi sklepowych i dopiero kiedy boleśnie uderzył głową w ramę, zrozumiał, że drzwi są zamknięte na klucz. Wewnątrz wisiała kartka: „Przepraszamy - remanent. Najbliższy sklep... przewidywane otwarcie sklepu dnia... o godzinie 13.00”. W środku zauważył kilka kobiet, które patrzyły na niego i pokładały się ze śmiechu.

- A niech to diabli! - wycedził przez zęby, pocierając obolałe czoło.

Szybko przypomniał sobie datę i stwierdził, że otwarcie nastąpi już nazajutrz. Stanął jeszcze raz przed wystawą, tak blisko, na ile pozwalała mu szyba, i pochłaniał wzrokiem upragniony przedmiot. Rękojeść sztyletu, prawdopodobnie ze srebra, wyobrażała gryfa trzymającego w szponach klingę. Jego dość daleko wysunięty język musiał być chyba stalowy. Nie był jednak rozwidlony, a jakoś dziwnie na końcu spiłowany.

Nie mógł nic więcej dojrzeć. Z trudem oderwał się od okna. Najchętniej przenocowałby tutaj, przechadzając się przed sklepem, żeby tylko jutro być pierwszym. Chyba nie ma zbyt wielu amatorów na takie rzeczy - pocieszał się. Właściwie ten sztylet nie jest nawet zbyt ładny, ostrze gdzieś tam przezarte rdzą, a i cena niejednego zniechęci.

W domu znowu opadły go wątpliwości. A co będzie, jeśli nie potrafi otworzyć skrytki? To jeszcze pół biedy, gorzej gdy po otwarciu okaże się, że był tylko naiwnym głupcem, bo skrytka już od dawna jest pusta? Nie, to niemożliwe. Tak przyzwyczał się do myśli o złotych monetach, że czuł się już ich posiadaczem. Nawet we śnie widział złote guldeny poukładane równo w rulonach.

Nazajutrz zjawił się na Nowym Świecie już o 12.30. Szedł z innej strony, więc musiał najpierw minąć drzwi. Zauważył, że nie ma na nich wywieszki. Wszedł szybko i od razu skierował się w stronę ekspedientki.

- Wczoraj widziałem na wystawie sztylet... wie pani, z gryfem zamiast rękojeści... Chciałbym go kupić.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie i z pewnym rozbawieniem.

- Zauważyłam, że ta chęć była dość gwałtowna. Czy jeszcze boli pana głowa?

- Już nie. Ale proszę mi go pokazać. Nie mam zbyt wiele czasu.

- Niestety, proszę pana. Jak się pan zapewne zorientował, otworzyliśmy o jedenastej, bo wcześniej uporaliśmy się z inwentaryzacją. A sztylet sprzedaliśmy pół godziny temu. Nawiasem mówiąc, leżał u nas ponad miesiąc.

- Jak to, sprzedaliście?! Co to ma znaczyć?!

- Proszę nie krzyczeć. Chyba nie musieliśmy prosić pana o pozwolenie?

- Bardzo panią przepraszam - zreflektowałam się. - Niech mi pani wybaczy moje zachowanie, ale tak bardzo pragnąłem go nabyć.

Miał tak zgnębiony wygląd, że zrobiło jej się go żal.

- Proszę pana, przykro mi, ale sam pan rozumie, że to normalne. Sztylet był do sprzedania, a że zjawił się nabywca, nie było powodu...

- Błagam, niech mi pani powie, kto go kupił! Może odszukałbym tę osobę i namówił do odsprzedania...

- Przypadkowo mogę spełnić pana prośbę. To nasz stały klient, zresztą znany literat, Piotr Werner. Podobno ma jakąś kolekcję. W każdym razie zbiera, jak sam to określił, „takie dziwne rzeczy”. Niedawno kupił na przykład klamrę od pasa o niewielkiej wartości. Może spodobał mu się jej kształt? Mieszka gdzieś pod Warszawą. Zresztą adres znajdzie pan z łatwością w książce telefonicznej.

III

Piotr Werner zatrzymał się przy ul. Chocim-skiej. Po chwili był już na schodach starej przed wojennej kamienicy, w której mieszkała Klara. Przed drzwiami zaczekał chwilę, chcąc ukryć ślady zmęczenia. Cóż, kondycją zaimponować jej nie mógł... Pomyślał, że Adam jest znacznie młodszy od niego,

ba, mógłby być nawet jego synem. Nacisnął guzik dzwonka. Za drzwiami odezwał się melodyjny dźwięk gongu. Gdy gospodyni otworzyła mu, zapomniał o wszystkim. Zawsze tak było, gdy ją spotykał. Mogła zaimponować każdemu mężczyźnie. Uśmiechnęła się do niego z wdziękiem kobiety znającej swoją wartość.

?- Proszę, wejź, Piotrze. Zaprosiłam cię na małą stypę. Wspominałam ci przez telefon, że Adam wrócił...

- Tak. Wiem.

- Nie rób takiej głupiej miny. Znasz mnie chyba na tyle, że nie możesz spodziewać się po mnie litości.

- Zdaję sobie z tego sprawę. W moim wieku nie powinno się mieć złudzeń, ale nie żądaj, abym szalał ze szczęścia.

- Może Adam znów wyjedzie? Pomiął jej uwagę milczeniem.

Klara wyszła do kuchni. Rozejrzał się po mieszkaniu i ze zdumieniem spostrzegł akwarelę Fałata wiszącą tam, gdzie w zeszłym tygodniu widział miedzioryt jakiegoś młodego grafika. Cóż, przy jej możliwościach to nic dziwnego - pomyślał ze złością.

- Napijesz się czegoś mocniejszego? - zawołała Klara z kuchni.

- Najwyżej symbolicznie. Jestem wozem... Na tacy wniosła doskonale się prezentującą butelkę „Long John”, kubek z lodem, syfon, słone orzeszki i ostatni szal półtora miliona warszawiaków - przepisowo ochłodzoną coca-colę.

- Adam zaprosił na jutro kilka osób. Prawdopodobnie zadzwoni i do ciebie.

- Nie przywiózł ze sobą żadnej Indianki?

- Piotrze, proszę cię, nie rób żadnych głupstw...

- Dobrze, obiecuję ci, że wysłucham z zapartym tchem wszystkich opowieści pana twego serca. Zapewne kreować się w nich będzie na bohatera...

- Mój drogi, zazdrość nie wpłynie chyba dodatnio na stan twojego zdrowia, że nie wspomnę już o twórczości literackiej.

- W chwilach pożegnań nie jesteś zbyt uprzejma...

- Przywykłam.

- Domyślam się.

Wstał i wolnym krokiem podszedł do okna. Na ławce stojącej w pobliżu kina zobaczył ściskającą się parę. Pomyślał o nich z zazdrością. Właściwie powinien być wdzięczny Klarze, że przy niej zapomniał o różnicy wieku.

Może teraz odzyska spokój? Zdawał sobie sprawę, że wreszcie ten kontakt zostanie przerwany, tym bardziej że o ile znał Adama, nie uznawał on żadnych kompromisów i nie znosił konkurencji.

- Nie zostaniesz dzisiaj? - Klara objęła go z tyłu za szyję i przyłgnęła doń całym ciałem.

Wyczuł, że jak zwykle nie nosiła nic pod cienką bluzką. Z trudem zapanował nad sobą.

- Nie... Nie lubię litości.

Uwolnił się delikatnie i wrócił do stolika. Pociągnął łyk alkoholu.

- Wiesz, kupiłem dziś rano w „Desie” nowy bibelot do mojej kolekcji.

Tym razem to mały sztylet o rękojeści w kształcie pomorskiego gryfa.

Ładne cacko. Zostawiłem go na dole w wozie. Przyjęłabyś go ode mnie?

- Nie, dziękuję ci. Nie lubię takich podarków. Jestem przesądna, a poza tym nie wiadomo, czy nie tkwił kiedyś pod czyimś żebrem...

Pożegnali się chłodno.

Wsiadając do samochodu Werner przypomniał sobie o wydawcy. Może teraz, kiedy rozstał się z Klarą, zdoła w terminie wywiązać się z umowy?

A zresztą miał już prawie gotowy szkic scenariusza do filmu fabularnego.

Musi przepisać go tylko na maszynie i nawet jutro będzie mógł omówić szczegóły z Jaworskim.

Około dwudziestej drugiej był już przed swoim domem. Wstawił wóz do garażu i wziął z przedniego siedzenia czarną skórzaną aktówkę z wykonanym w srebrze monogramem. Teczki już dawno otrzymał w prezencie, a monogram -

to był jeden z pomysłów Klary. Otwierając drzwi wejściowe, usłyszał natarczywy dzwonek telefonu rozbrzmiewający zza drzwi gabinetu. Rzucił aktówkę na szafkę w hallu, wbiegł do gabinetu i zdążył jeszcze podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Mówi Adam. Dobry wieczór, chlubo polskiej literatury! Dzwoniłem do ciebie kilkakrotnie, ale widocznie w domu jesteś tylko gościem.

- Dobry wieczór. Widzisz, tak się jakoś złożyło... Cieszę się, że już wróciłeś... Jak ten czas leci.

- Ano tak. Ale do rzeczy. Właśnie z okazji szczęśliwego powrotu chciałbym postawić paru znajomym wódkę. Uważaj się więc za zaproszonego.

- Oczywiście przyjdę. Jestem w tej dobrej sytuacji, że mam zaledwie parę kroków. Początek o której?

- Jutro o dziewiętnastej. Ale jest to tylko orientacyjna godzina.

Podejrzewam, że paru ludzi i tak się spóźni, nie traktuj więc tego zbyt dosłownie.

- W porządku. No i jak tam było?

- Pogadamy jutro. Chcę jeszcze zadzwonić do Ryszarda. Jego też nie mcgę złapać.

- Dobrze się składa, że i jego zapraszasz. Chciałbym mu przy okazji pokazać mój nowy scenariusz. Nie będę musiał spotykać się z nim w Warszawie.

- A więc do jutra.

- Tak. Do widzenia.

Co ta Klara widzi w tym megalomanie? - pomyślał z niechęcią i odłożył słuchawkę.

Przyciągnął fotel i siadając spojrzał uważnie na biurko. Coś mu się tu nie podobało. Od pewnego czasu stał się chorobliwie pedantyczny i nie znosił najmniejszego nieporządku. Nikomu nie pozwalał dotykać swoich papierów.

Ale pani Janiny dziś nie było. Prosiła go wczoraj o zwolnienie na parę dni, chciała bowiem pojechać na przysięgę do starszego syna. Zresztą ona dobrze wiedziała, że jej chlebodawca nie lubi, gdy podczas sprzątanego przestawia mu cokolwiek na biurku. Otworzył szufladę i odniósł wrażenie, że ktoś naruszył ład, jaki tam zawsze panował. Czyżby ktoś tu gospodarował? Niemożliwe, drzwi wejściowe były zamknięte... No, i w domu nie było go zaledwie przez dwie godziny. Już miał machnąć na to ręką, kładąc wszystko na karb przewrażliwienia, gdy wszedłszy do łazienki spostrzegł leżący na posadzce spory kamień i kawałki szkła pod ścianą w pobliżu okna.

Podniósł wzrok - w szybie był duży otwór. Nacisnął klamkę okna - było zamknięte. Może to dzieci sąsiadów - przyszło mu na myśl... Ale ten nieład w szufladach... I to instynktowne przeczucie śmierci... - Tak, ale to ja sam dziś napisałem - roześmiał się z przymusem. Coś niedobrze z moimi nerwami... W dalszym ciągu jednak nic z tego nie rozumiał. Kto i po co, u licha, miałby się tu włamywać? I do tego w taki idiotyczny sposób?

Powrócił zamyślony do gabinetu i wykręcił numer komendy MO.

- Słucham. Dyżurny - rozległ się bas w słuchawce.

- Dobry wieczór. Mówi Piotr Werner. Mam wrażenie, że dziś wieczorem ktoś włamał się do mego mieszkania.

- Na jakiej podstawie pan tak przypuszcza?

- W łazience zastałem wybitą szybę, a na podłodze leży kamień. W moim gabinecie czegoś szukano.

- Czy zginęły jakieś przedmioty?

- Na razie nie wiem. Gdy zorientowałem się, że coś jest nie w porządku, wolałem niczego nie dotykać.

- Słusznie. Właśnie z terenu wróciła ekipa, będzie więc u pana za kilkanaście minut. Aha, może jeszcze poda nam pan swój adres?

- Przepraszam pana. Z tego wszystkiego zapomniałem... Oczywiście mieszkam w Modrzewiu, pierwsza willa za mostem na strumieniu w kierunku...

- Dziękuję, już wiem. Trafimy bez trudu... - Odłożył słuchawkę. - Oczywiście mieszkam w Modrzewiu... - powtórzył. - Śmieszny facet.

Pawlak - zwrócił się do siedzącego obok funkcjonariusza - co ci mówi nazwisko Piotr Werner?

- No jakże, przecież to znany pisarz. Mieszka w Modrzewiu. Ma fiata. Ładny, żółty kolor.

- To się szczęśliwie złożyło, że miałem pod ręką ekipę. Tacy panowie lubią czasem z byle powodu poskarżyć się komendantowi.

Po upływie dwudziestu minut przed willą hamowała szara nysa. Do oczekującego przy furtce Wenera podszedł podporucznik. Za nim wyciskał się z samochodu gruby wąsaty sierżant, przewodnik psa.

- Kołodziejczyk - przedstawił się oficer.

- Zanim wejdziemy do środka, chciałbym obejrzeć dom z zewnątrz.

- Bardzo proszę.

- Czy furtka jest zawsze zamknięta?

- Tak. W przedpokoju mam przycisk uruchamiający elektromagnes i na sygnał dzwonka mogę otworzyć furtkę nie wychodząc z domu. Kiedy się gdzieś wybieram, zamykam ją na klucz, jak zresztą i bramę, ale jak sam pan widzi, siatka jest dość sfatygowana i sforsowanie jej nie stanowi większego problemu.

- Istotnie... Zróbcie szkic willi z ogrodem i ogrodzeniem, szkic ściany budynku, a w środku już sami wiecie - podporucznik zwrócił się do technika. - I oczywiście zdjęcia.

Kołodziejczyk obszedł willę dookoła i zatrzymał się pod wybitym oknem łazienki.

- Psiakość! - mruknął. - Wszędzie tu żwir. Z psa będzie niewielki pożytek.

Zapalił latarkę. Przyglądając się uważnie ziemi dojrzał w piasku dwa niewielkie wgłębienia. Tak, to normalne - pomyślał. Przecież do okna jest dość wysoko.

- Czy ma pan jakąś drabinę? - zwrócił się do Wenera. N

- Tak. Stoi tam, pod drzewkiem.

Oficer wziął drabinę i przyłożył jej dolne końce do wgłębień. Tak, to była ta drabina. Wydał dyspozycje przewodnikowi psa, a sam z technikiem i Wernerem udał się do mieszkania.

- Na wszelki wypadek zbadajcie jeszcze zamki u drzwi wejściowych - polecił bez większego przekonania technikowi.

Z obszernego hallu weszli do łazienki. Kołodziejczyk spojrział na wybite okno, a następnie pozbierał szczypczykami odłamki szkła i schował je do szarej koperty. Nie spodziewał się znaleźć tam żadnych odcisków, ale lubił dokładną pracę.

- Na kamieniu nic nie znalazłem - zameldował technik.

- Dobrze. Sfotografuj i wyrzuć. Nie będzie nam potrzebny.

Przeszli do gabinetu. Podporucznik schylił się i podniósł z dywanu maleńki odłamek szkła.

- Teraz już nie ulega wątpliwości, którądy dostał się do środka - rzucił mimochodem.

Po opyleniu proszkiem blatu biurka ujawnił się zamazany nieco ślad rękawiczki.

- Zróbcie zdjęcie i przenieście ślad na folię. Nasi eksperci potrafią z pewnością określić bliższe cechy rękawiczki. Jeśli pan nie zostawił tego śladu - zwrócił się do Wenera.

- Ja? Ale skąd. Nie chodzę latem w rękawiczkach. Czasem używam ich prowadząc wóz, ale zawsze zostawiam je wewnątrz, na siedzeniu.

- No cóż, więcej śladów chyba tu nie znajdziemy. Teraz proszę nam powiedzieć, czy nic nie zginęło.

- O ile zdążyłem się zorientować, raczej nie. Widzi pan, w tej gablocie przechowuję różne przedmioty. Niektóre z nich mają dużą wartość nie tylko kolekcjonerską. Wygląda na to, że nikt tam nie szperał. Wszystkie drobiazgi leżą na swoich miejscach. Od razu poznałbym, gdyby któryś zniknął lub zmienił

położenie. Pieniądzy w domu nie trzymam. Być może zginęło coś z biurka, ale w tej chwili nie potrafię powiedzieć nic pewnego.

- Gdyby doszedł pan do wniosku, że stan pańskiego posiadania nieco się zmniejszył, poproszę o wiadomość. Tutaj jest numer mojego telefonu. A teraz może zechce pan się zapoznać z protokołem oględzin. Ja tymczasem sporządzę notatkę o przestępstwie... Nie będziemy pana do nas fatygowali - dodał z uśmiechem.

Tymczasem zameldował się sierżant, którego pies doprowadził do stacji kolejowej, gdzie ślad się urwał.

- Czy wiesz chociaż, w jakim kierunku mógł odjechać nasz „gość”?

- Tak. Lokis doprowadził na peron, z którego odjeżdżają pociągi w kierunku Warszawy.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak prosić pana o podpisanie tych dokumentów i życzyć dobrej nocy - stwierdził Kołodziejczyk.

- Ja również życzę panom dobrego wypoczynku i bardzo dziękuję.

IV

Adam Hornet otworzył oczy. Przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Wreszcie oprzytomniał i rozejrzał się po znanym otoczeniu. A więc jestem u siebie - pomyślał. Przeciągnął się, odrzucił kołdrę i zeskoczył z tapczanu. Rozsunął zasłony. Blask słonecznego poranka nappełnił pokój. Otworzył okno. Dwa buki przed domem prezentowały całą gamę kolorów. Kalendarz pokazywał koniec sierpnia, pogoda utrzymywała się dobra. Od rana zanosilo się na upalny dzień.

Jeszcze przedwczoraj siedział w samolocie lecącym do Paryża po rocznym pobycie w Ameryce Południowej. Wyjechał z Polski, by na zamówienie „Telefilmu” nakręcić kilka reportaży z tego ciągle interesującego i egzotycznego kontynentu. Z zadania wywiązał się znakomicie. Przedłużył wprawdzie nieco swój pobyt, ale nie mógł nie skorzystać z propozycji przedstawionej mu przez pewnego francuskiego producenta, którego poznał na

jakimś przyjęciu w Valparaiso. Powstały w ten sposób jeszcze trzy filmy: jeden z nich nakręcił w Peru - koszty pokrywał producent - na temat poszukiwań archeologicznych w starożytnych ruinach w Cusco i Chan Chan, drugi, w należącej do największych na świecie kopalni miedzi w Toquepala w południowych Andach. Dla realizacji trzeciego reportażu musiał pojechać do sąsiedniej Brazylii. Materiału dostarczyło życie sztucznego miasta o tej samej nazwie, które od kwietnia 1960 roku stało się stolicą administracyjną kraju.

Był z siebie zadowolony. Na kontynencie amerykańskim ponawiały sporo interesujących kontaktów; poznał też wiele osób przebywających tam dla interesów, a mieszkających w Europie. Z łatwością uzyskał obietnice zaproszenia do Francji i Belgii. Szczególnie cieszył się z zawarcia znajomości z mieszkańcem Antwerpii Ianem van Vroom z rodziny szlifierzy diamentów, pracującym zresztą również w tym zawodzie. Okazało się, że marka Polskiej Kroniki Filmowej, którą w jakiś sposób reprezentował, jest utrwalona, przyjmował więc wyrazy uznania i... co tu dużo mówić - dzięki temu zawarł korzystny kontrakt i zarobił sporo pieniędzy. Poszło to nadspodziewanie gładko: zrealizował zamówienie i natychmiast otrzymał czek na Banque Nationale de Paris. Obaj zainteresowani rozstali się z zapewnieniami wzajemnego szacunku.

Samolotem linii „Pan American Airways” udał się w drogę powrotną.

Międzylądowanie w Nowym Jorku i stamtąd powietrzny skok przez Atlantyk. W Paryżu był po szesnastu godzinach lotu. Prawie osiem i pół tysiąca mil.

Tu nie tracił czasu. Zrealizował czek, zjadł obiad, w restauracji zapytał o adres najbliższego salonu samochodowego, w krótkim czasie był już właścicielem szarooliwkowego forda-capri, kabrioletu z plastikowym ruchomym dachem. Opuszczał Francję w pośpiechu, w głębi duszy było mu jednak przykro. Najpierw kolorowa Ameryka, teraz Paryż...

Zasmakował już w tym, prawdę powiedziawszy, trochę świątecznym życiu i teraz z pewną przykrością myślał o powrocie do szarzyzny dnia

codziennego. Jadąc ulicami francuskich i zachodnioniemieckich miast spostrzegł nagle, że ulicami chodzą również kobiety. Dotychczas zbyt był zajęty pracą i zarabianiem pieniędzy, by zajmować się poważniej osobami odmiennej płci. Zresztą w Warszawie była przecież Klara. Spostrzegł, że mijane po drodze wesole i hałaśliwe pary przypominały mu ją. Co robiła w czasie jego nieobecności? Jak wytrzymała próbę rozłąki? Tam, w Warszawie, wszyscy mu jej zazdrościli. Widział to w spojrzeniach mężczyzn prześlizgujących się po jej postaci, kiedy razem wchodzili do „Kamieniołomów” czy do klubu „Pod Piórem”. Był zazdrosny, zazdrością bardziej właściciela niż kochanka czy narzeczonego. Nie zniósłby nawet myśli, że Klara mogła go zdradzić. Wiedziała zresztą o tym i trochę bała się go, zwłaszcza po pewnym przyjęciu, kiedy to wypił dość dużo alkoholu i zrobił jej dziką awanturę, że na pół godziny zniknęła mu z oczu.

Na próżno tłumaczyła, że czas ten spędziła w sąsiednim pokoju, usuwając małą awarię garderoby... Wściekł się i zapowiedział, ściskając aż do bólu jej ramię, że kiedyś ją zabije. Adam domyślał się zresztą, że uczucia, jakie Klara do niego żywiła, nie były całkowicie bezinteresowne, ale nie przejmował się tym. Uważał, że stać go na taki margines ryzyka. Był właścicielem domu, starego wprawdzie, ale obszernego, w miejscowości, której też mu zazdroszczono, bo znowu było modne mieszkać - jak się to mówiło - w suburbii, gdzie po pracy można było odpocząć z dala od wielkowiejskiego zgiełku. Po ojcu, wziętym lekarzu - matka umarła, gdy był jeszcze dzieckiem - zostały też jakieś pieniądze, a on sam miał interesującą i nieźle płatną pracę.

Kiedy wjechał na terytorium NRD, poczuł się jak w domu. W południe był już w Warszawie. Z jakiejś kawiarni zadzwonił zaraz do szpitala, w którym Klara odbywała staż, ale powiedziano mu, że wyszła przed dwiema godzinami. Jej domowy telefon nie odpowiadał. Hornet nie miał polskich pieniędzy, więc dał zdumionemu, a potem nagle zachwyconemu szatniarzowi pół dolara i pojechał na Chocimską. Nikt nie reagował na dzwonicie. Wyrwał z notesu

kartkę, napisał o swoim powrocie, obiecał zadzwonić nazajutrz i wetknął zwitek w dziurkę od klucza. Jadąc w stronę domu miał jeszcze nadzieję, że może tam zastanie Klarę. Przed swoim wyjazdem zostawił jej klucze, proponując nawet, by na czas jego nieobecności zamieszkała w Modrzewiu; przyrzekła tylko jednak, że będzie od czasu do czasu odwiedzać mieszkanie, ale tam nie zamieszka, gdyż musiałaby zbyt wcześnie wstawać, by zdążyć do pracy w Warszawie.

Dom zastał zamknięty na cztery spusty. Chodząc po pokojach, stwierdził ze złością, że co najmniej od miesiąca nikt tu nie sprzątał. Był już tak zmęczony, że wstawił wóz do garażu, przeniósł do mieszkania walizki, obmył się z grubsza i rzucił się na tapczan.

Spał siedemnaście godzin. Wracając do rzeczywistości rozejrzał się po pokoju. Wszystkie rzeczy leżały tak, jak porzucił je wczoraj. Na środku cztery wypchane walizki, na nich płaszcz, na stole rękawiczki i klucze od wozu. Część garderoby na fotelach. Po kąpieli poczuł, że jest wściekle głodny. Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

Była pusta, a zresztą wyłączona. Znowu poczuł złość na niedbalstwo Klary. Przecież musiała też coś jeść... A może wcale tu nie przychodziła?

Więc co robiła? Wyjaśnienia postanowił jednak odłożyć na później. Wrócił do pokoju, z najmniejszej walizki wyjął puszkę soku pomarańczowego, kawę i pudełko herbatników. Zaniósł to wszystko do kuchni. W ekspresie zaparzył kawę, wlał ją do filiżanki, na talerzyku ułożył kilka ciastek, przedziurawił puszkę z sokiem, wyjął z szafki wysoką szklankę. Wszystko to ustawił na tacy i wrócił do pokoju. Parząc usta połknął zawartość filiżanki, włożył do ust na raz parę herbatników, popił wreszcie sokiem.

‘No, jakoś wytrzymam jeszcze godzinę - pomyślał. Zapalił papierosa.

Postanowił pojechać do Warszawy. Pomyślał, że pracę podejmie dopiero w poniedziałek. Na sobotę chciał zaprosić kilku znajomych i oblać swój powrót i sukcesy. Podeszedł do telefonu, wykręcił numer szpitala.

- Chciałbym rozmawiać z panią doktor Nowicką.

Po kilkunastu sekundach usłyszał głos Klary: - Słucham, Nowicka.

- Dzień dobry, Klaro, tu Adam...

- Kochany! Jak się cieszę! Skąd dzwonisz?

- Przecież nie z Brazylii. Od wczoraj jestem w kraju, cały spragniony twego widoku.

- Zupełnie się nie spodziewałam. Dlaczego nie depešzowałeś? Byłabym wyjechała na lotnisko.

- Pisałem, ale list pewnie jeszcze nie dotarł. Poza tym przyjechałem samochodem.

- Z Brazylii?

- Nie bądź niemądra. Kupiłem go w Europie. Na pewno ci się spodoba.

Jeszcze czuję w kościach to siedzenie za kierownicą. A co się z tobą działo?

- Kiedy?

- Wczoraj próbowałem dodzwonić się do ciebie, telefonowałem również do domu, ale cię nie zastałem.

- Tak. Musiałam się wcześniej zwolnić i pojechać do Heli. Wiesz, do tej mojej przyszywanej kuzynki. Bardzo źle się czuła i prosiła, żebym do niej wpadła. Zbadałam ją, poszłam do apteki kupić lekarstwa, a potem nagle zrobiło się późno i nie chciało mi się już wracać.

- Aha, a teraz jesteś bardzo zajęta?

- Raczej tak. Dlaczego pytasz?

- Chciałem cię zaprosić na śniadanie. Wypiłem tylko kawę, bo w domu nic nie było.

- Widzisz, to wszystko dlatego, że nie spodziewałam się twojego przyjazdu. Nigdy u ciebie nie jadłam, więc wyłączyłam lodówkę, bo szkoda prądu.

- No dobrze. Ponieważ ja też muszę jeszcze załatwić parę spraw, to może

spotkamy się jutro u mnie? Chciałbym zaprosić kilka osób. Większość z nich znasz. Może wpadniesz do mnie wcześniej?

- Tak, naturalnie. Pomogę ci w przygotowaniach.

- A więc do jutra. Pa!

Z kieszeni marynarki wyciągnął portfel. Miał jeszcze około siedemdziesięciu dolarów w banknotach i trochę bilonu.

Pierwsze kroki skierował do sklepu Pekao na Kredytowej. Kupił whisky, gin, butelkę martini, pięć butelek extra żytniej i karton papierosów.

Przesunął wzrokiem po półkach:

- Co to za „Złota Jesień”?

- Polski calvados. Mogę panu polecić. Mocna i aromatyczna.

Zapakować?

- Dwie butelki proszę.

Usłużny sprzedawca włożył wszystko do dużego pudła, a widząc zakłopotanie klienta zapytał z niepokojem: - Ma pan wóz? Bo jeśli nie, to wyślemy na adres.

- Mam, ale...

- Niech pan poczeka. - Zniknął za kotarą, skąd po chwili wrócił z szesnastoletnim może chłopcem.

- Kaziu, weź to pudło i odnieś panu do wozu. Znowu, rad nierad, musiał usatysfakcjonować Kazia monetą. Dobrze, że kończy mi się waluta - pomyślał. Straciłbym majątek na napiwki.

Zaparkował na Barbary. Podniósł dach i zamknął wóz. Sprawdził klamkę z drugiej strony. Skręcił w prawo, przeszedł przez bramę i podwórko, stwierdzając z zadowoleniem, że dobrze pamięta topografię. Nikt by nie powiedział, że to sam środek miasta. Zaraz za rogiem mieścił się lokal „Pod Dzwoneczkiem”, stanowiący własność pana Alojzego Stróżyka.

Nazwa knajpki była o tyle usprawiedliwiona, że ów „dzwoneczek” istniał rzeczywiście, tyle tylko że miał prawie pół metra wysokości. Przez dwa dni po

otwarcu lokalu wisiał nad wejściem na stalowej szynie, pan Alojzy musiał jednak szybko zrezygnować z oryginalnego szyldu, bowiem zarówno on sam, jak i mieszkańcy sąsiednich domów nieraz wyskakiwali przerażeni z łóżek, słysząc donośny dźwięk dzwonu uderzonego kijem lub kamieniem przez chuliganów czy zabłąkanych w uliczce pijaków, którzy pragnęli w ten sposób podzielić się z bliźnimi swoją radością. W sprawę wreszcie wdała się milicja i dzwon został umieszczony na ladzie wewnątrz lokalu. Nazwa jednak pozostała.

Wchodząc do lokaliku Adam już od progu dostrzegł wystający zza lady brzuch pana Alojzego polerującego brzegiem fartucha „dzwoneczek”.

- Dzień dobry, panie Alojzy - zawołał. - Jak zdrówko? Coś, widzę, pan dziś nie w humorze?

- Moje uszanowanie panu. Ano, nieszczęście od rana.

- Co się stało?

- Kocisko, psia nędza, przewrócił mi słój z grzybkami. I czym ja teraz gości podejmę?

A nie mogę zwierzaka wyrzucić, bo dobrze myszy gania.

- Niech się pan nie przejmuj. Sezon na grzyby jeszcze się chyba nie skończył?

- Niby nie... ale zawsze szkoda. A pan gdzie się podziewał tyle czasu?

Już nawet do mojej mówiłem, że pan się pewnie obraził albo wyjechał?

- To drugie. Trochę jeździłem po świecie. Ale, jak pan widzi, nie zapomniałem starych znajomych.

- No to chwała Bogu. Dziś u mnie skromnie. Może być wędzony węgorz albo filet sarni na grzance. A do popicia, to, jak zwykle, nie brakuje.

- Może być jedno i drugie. Brakowało mi ostatnio ludzkiego jedzenia.

Jeszcze pusto u pana?

- Zaraz się zejda. Tak za pół godzinki wyskoczą chyba z próby w teatrze, a i z „Miastoprojektu” pewnie ktoś dojdzie. Jeszcze wakacje, a i pora wczesna...

- A więc do dzieła, panie Alojzy! Dzwonek, widzę, w dobrym stanie?

- A jakżeby inaczej? Jakem jeszcze pływał... Ach, prawda, panu już opowiadałem... To ja zaraz podam, a pan szanowny niech sobie wygodnie siądzie. Może na razie jednego?

- Malutkiego.

- Już, już...

Kelnerka przyniosła na tacy bułki i masło, rozłożyła serwetkę i nakrycie. Przed talerzem postawiła kieliszek jałowcówki.

- Może przez te parę minut, zanim podam jedzenie, przejrzy pan gazetę? Mam „Życie Warszawy”.

- O tak, z przyjemnością. Właściwie tylko z grubsza orientuję się, co działo się w kraju.

Zaledwie zdążył rozłożyć gazetę, a do lokalu wtargnęła z hałasem kilkusobowa grupa. Mężczyźni i kobiety. Rozsiadali się przy stolikach, głośno domagając się o jedzenie. Ostatni z wchodzących napotkał wzrok Adama i zawołał:

- Adam! Ty żyjesz? Wróciłeś! No, jak się miewasz? Nie myślałem, że jesteś już w kraju. Przed dwoma dniami dostałem od ciebie widokówkę z Valparaiso. Rozmawialiśmy o tobie w pracowni.

- Jak widzisz, wróciłem zdrow i cały. A tę kartkę wysłałem przed miesiącem. Siadaj. Jesteś sam?

- Ma tu wpaść Agnieszka. Ucieszy się na twój widok. Nie umawiałem się konkretnie, bo miała coś jeszcze załatwić dla szefa. Możemy chwilę pogadać.

- Jeszcze się z nią spotykasz? Znosi się chyba na coś poważnego? To miła dziewczyna.

- Nigdy nic nie wiadomo, ale tak to wygląda. W moim wieku trzeba się ustatkować.

- Daj spokój, Heniek, jesteśmy prawie z jednego rocznika. A ja jeszcze nie myślę o stabilizacji.

- I ciebie to spotka. Zresztą można ci pozazdrościć wyboru. Widziałeś się

z Klarą?

- Nie. Wczoraj próbowałem, ale nie mogłem jej złapać. Przed godziną rozmawiałem z nią przez telefon.

- Będzie tu?

- Nie. Ma jakąś pilną robotę w szpitalu. Widziałeś ją ostatnio? Jak sobie radziła?

- No, chyba nieźle. Ale opowiedz o swoich wjazdach.

- Co miałeś na myśli, że „chyba nieźle”? Mów, chcę wszystko wiedzieć!

- Widzisz... to dość skomplikowane. Właściwie to nie moja sprawa... może źle się wyraziłem. Ale uspokój się, nic się przecież nie stało. Ot, widziałem ją parę razy, ale sam wiesz, że Klara lubi towarzystwo, jest wesoła i trudno chyba wymagać, żeby nie wyszła z kimś na kawę?

- Z kim?

- Hm... Ja nie wiem, ale Agnieszka mówiła mi, że widziała ją z Piotrem.

Ja też parę razy... Ale gdyby między nimi coś, tego... to przecież nie pokazywałyby się z nim publicznie. Znają się przecież od dawna. Klara mi kiedyś mówiła, że przepisywała mu jakieś opowiadania i on w ramach rewanżu zaprosił ją na dancing...

- Co?!

Henryk przyjrzał się uważnie Adamowi.

- Słuchaj, stary, najlepiej ty sam z nią pogadaj. Ja nie chcę się wtrącać. I tak żałuję, że tyle powiedziałem, ale wydusiłeś to ze mnie.

- To nic. Dziękuję ci. Istotnie najlepiej będzie, jeśli sam to załatwię. Piotr mógłby być jej ojcem. Ale, do cholery, po co się przystawia!

- Ciszej... po co wywoływać sensację. Już zwracają na nas uwagę.

- Już dobrze. Słuchaj, Heniu, masz jutro wolny wieczór? Jeśli tak, to wpadnij do mnie. Oczywiście z Agnieszką. Wypijemy, porozmawiamy.

Stęskniłem się już za polską mową. Będzie jeszcze parę osób.

- Z przyjemnością. Należy mi się odprężenie. W tym roku nie miałem

jeszcze urlopu. Ale projekt dla -"Orbisu" już prawie skończyliśmy.

Zmieścimy się w czasie, a może nawet przekażemy go wcześniej. Muszę ci się pochwalić, że nagrodzono mój projekt motelu i chyba jeszcze w tym roku wejdzie do realizacji.

- Gratuluję. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś zaprojektować schodów, jak to się kiedyś komuś podobno zdarzyło?

- Nie. Wszystko będzie w porządku. Przewidziałem nawet dla ciebie specjalny stolik w restauracji.

Roześmieli się. Przykry nastrój minął.

- Ach, byłbym zapomniał. Mam do ciebie prośbę. Pożycz mi do poniedziałku z siedemset złotych. Na razie czuję się jak cudzoziemiec, mam tylko dolary, za które chleba i masła nie da się kupić.

- Proszę cię bardzo. A może potrzebujesz więcej? Nie krępuj się.

Ostatnio mam trochę forsy. Dostaliśmy większe premie.

- A wiesz, może masz rację. Daj mi tysiąc do równego rachunku.

. Henryk spojrzał na zegarek.

- Agnieszka pewnie już nie przyjdzie. Muszę iść. Ty też wychodzisz?

- Tak. Skończę zakupy i wrócę do siebie. Gdyby nie to, że pracujesz o dwa kroki, mógłbym cię podwieźć. Przywiozłem z Paryża forda.

- No, no! Musiałeś tam nieźle zarabiać?

- Zrobiłem trzy filmy dla jednego Francuza, trochę wycygałem od stryja i jakoś starczyło.

Stanęli przed restauracją.

- A więc czekam jutro. Pozdrów Agnieszkę.

- Załatwione. To na razie! Do widzenia!

V

Powoli zbliżał się sierpniowy wieczór. Słońce, jak gdyby utrudzone całodzienną wytężoną pracą, chowało się za wysokimi koronami sosnowego lasu. Było parno. Zanosilo się na burzę. Bio-meteorolodzy przewidywali na dziś

wzrost złego samopoczucia, nastroje drażliwości i zmniejszony refleks. W takie dni osoby bardziej pobudliwe powinny starać się unikać wszelkich konfliktowych sytuacji.

Kilkaset metrów od środka Modrzewia, na skraju lasu, frontem do wyboistej, nie pierwszej już młodości drogi stała solidna piętrowa willa obrośnięta pędami dzikiego wina. Widać było po niej, iż wyraźne jeszcze ślady świetnej przeszłości walczyły dzielnie z niszczącym działaniem czasu. Wokół odczuwało się brak troskliwości i gospodarskiej ręki.

Okazały ogród, ogrodzony naderwaną w wielu miejscach siatką, coraz bardziej zarastał chwastami.

Krzaki przekwitających róż cudem niemal utrzymywały się przy życiu.

Smutne to wrażenie ratowała starannie utrzymana, wysypana kolorowym żwirem, alejka, przy której rosły dwa modrzewie i kilka srebrnych świerków. Cień mieszkańcom willi zapewniało również kilka, rosnących w pobliżu okien, wysmukłych buków. Alejka, wpadając w szeroki podjazd, dochodziła do łączącego się z domem, podzielonego na dwie części, parterowego baraku, który pełnił funkcję garażu i kotłowni.

Adam lubił ten stary dom, po którym kręcił się teraz niespokojnie. Rzucił okiem na stojący na kominku zegar: minęła już osiemnasta. Za chwilę powinna nadejść Klara. Zlustrował uważnym wzrokiem dwa łączące się ze sobą pokoje. Nie wiem, o co jej chodzi - pomyślał z rozdrażnieniem.

Dwa pokoje, kuchnia i łazienka na dole, ogromna pracownia i druga łazienka na piętrze, kto dziś ma takie mieszkanie? Ale ona woli Warszawę.

Porozstawiał na barze kieliszki i szklanki i przesunął go w kierunku dwóch obitych ciemnobrązową skórą klubowych foteli. Pozostałą zastawę umieścił na pokrytym znakami zodiaku stoliku stojącym przy skórzanej kanapie. Całości umeblowania dopełniała ciężka palisandrowa biblioteka i puszysty kaukaski dywan.

Adam udał się na górę i po chwili wrócił z dużą, solidnie wypchaną

podróżną torbą. Mieściły się w niej „łupy” pochodzące z jego wędrowki po Ameryce Południowej. Wyciągnął opakowany w plastikową folię worek z piętnastoma długimi strzałami. Uśmiechnął się na wspomnienie odprawy celnej na lotnisku w Rio de Janeiro. Barczysty oficer o czekoladowej twarzy zapytał go, czy nie przewozi broni.

Odpowiadając przecząco nie zdawał sobie sprawy, że otrzymane w podarku od starego Metysa strzały stanowiły niegdyś jedyny, a przy tym wyjątkowo niebezpieczny oręż Indian. Obecny przy kontroli młody brazylijski lekarz poinformował go wówczas, że mieszkańcy dorzecza Amazonki i Orinoko nasycali te „niewinne patyczki” kurarą, będącą wyciągiem z pewnych roślin należących do gatunku strychnos. Kurara wywołuje porażenie ruchowych zakończeń nerwowych, a w konsekwencji doprowadza do porażenia wszystkich mięśni. Człowiek czy zwierzę ranione umaczaną w tej truciznie strzałą pada bez krzyku i ginie wskutek uduszenia. Dziękując za wykład Adam spojrzał z lękiem na swoje „pamiątki”. Nawet bez kurary można by bez większego trudu kogoś tym załatwić - pomyślał.

Klara spóźniała się. A pamiętał, że jeszcze przed rokiem była wyjątkowo punktualna. Ta wczorajsza rozmowa z Henrykiem... Ona i Werner...

Wszystkich mógł podejrzewać, ale Piotra? Nie mógł sobie tego wyobrazić.

Pomijał już fakt, że Werner był jego przyjacielem, ale ta różnica wieku i - co tu dużo mówić - nie najlepsza aparycja. Może pieniądze? Tak. To mogło podziałać na tę dziewczynę. Nagle poczuł ogarniającą go wściekłość. Dzisiejszy wieczór powinien mi dostarczyć wielu okazji do ciekawych obserwacji - pomyślał z satysfakcją.

Usłyszał łoskot zatraskiwanej furtki. Otworzył drzwi wejściowe i spojrzał w głąb ogrodu. Ujrzał biegnącą alejką i już z daleka uśmiechającą się do niego Klarę. Od razu zapomniał o dręczących go obawach. Wyglądała prześlicznie. Miała na sobie długą, wzorzystą suknię z głębokim wycięciem,

która wyszczuplała i tak już smukłą sylwetkę. Puszyste jasnoblond włosy, spięte wysoko ozdobną klamrą, idealnie harmonizowały ze złotem opalenizny. Na przedramieniu błyszczała la-otańska bransoleta.

- Adasiu, kochany, nareszcie! Bardzo za tobą tęskniłam! Ciągle myślałam o tobie, a ty pewnie o mnie zapomniałeś?

- Jak możesz, Klaro? Wiesz przecież, że mam tylko ciebie, tylko ty się liczysz. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię utracić. Ale wejdźmy do środka. Pomożesz mi trochę w przygotowaniach? Spóźniłaś się, a goście zaczną się niedługo schodzić.

- Sam przecież wiesz, jaki tu jest dojazd. Ledwie złapałam taksówkę.

Poza tym ciotka nie najlepiej się dziś czuje. Ale kogo właściwie zaprosiłeś?

- Większość już znasz i nawet lubisz.

- No dobrze. Chodźmy teraz do kuchni. Pokażesz, co mam przygotować.

- Poczekaj jeszcze chwilę, Klaro. Mam dla ciebie prezent. Wiem, że z biżuterii najbardziej lubisz bransoletki, toteż długo szukałem czegoś oryginalnego.

Wręczył jej ozdobne safianowe pudełko, w którym leżała misternie wykonana bransoletka w kształcie węża z głową kobiety z czerwono połyskującego złota.

- Jakie to śliczne! Czy ten wąż coś oznacza?

- Tak. To jest Coatlicue, kobieta wąż, czyli aztecka bogini ziemi, narodzin i śmierci. A kruszec to „łzy boga słońca”.

- Ale przecież ona jest ze złota!

- Właśnie tak nazywano tam złoto przed przybyciem konkwistadorów.

Przywiozłem jeszcze kilka drobiazgów, ale pokażę je, jak przyjdą inni.

Aha, wspomniałem ci już, że przyjechałem z Paryża samochodem.

Kupiłem fordę-capri model 72 w kolorze oliwkowym.

- Widzę, że przez ten rok nie próżnowałeś... Zanieś teraz talerze i widelce

do pokoju, a ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia. A co z alkoholem?

- Od wczoraj stoi w lodówce.

Po chwili Klara ustawiała już talerzyki z przekąskami. W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

- Piotrze, otwórz, mam zajęte ręce! - zawołała z pokoju.

Adam znieruchomiał. A więc to prawda... Od razu przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Henrykiem. Nie uznawał porażek, a ta była wyjątkowo przykra. Postanowił jednak, że będzie grał nadal, że z niczym się nie zdradzi.

- Adasiu, otwórz wreszcie. Ktoś dzwoni! - ponownie odezwała się Klara.

- Tak, tak, już idę - odpowiedział. - Włączyłem radio i przez chwilę nie słyszałem.

Klara odetchnęła z ulgą. Już w chwili kiedy wypowiedziała to imię, uświadomiła sobie, jaką popełniła pomyłkę. Na szczęście, Adam nie słyszał, muszę jednak bardziej nad sobą panować - pomyślała zdenerwowana. Znała dobrze jego charakter i wiedziała, że nigdy by jej tego nie wybaczył. Byleby tylko Piotr zachowywał się normalnie!

- Cóż? to, jestem pierwszym gościem? - zapytał Werner od drzwi.

- Nic w tym dziwnego, masz przecież tylko kilka kroków.

- Wręcz to swojej pani - podał Hornetowi kilka kolorowych gerberów.

- Z przyjemnością. Tylko dziwi mnie, skąd wiedziałeś, że Klara jest u mnie? - uważnie spojrzał mu w oczy.

- No jakże... przecież to naturalne. Niedawno przyjechałeś, a Klara chyba pomogła ci w przygotowaniach?

- Oczywiście masz rację. Żartowałem - uśmiechnął się Adam. - Ale wejdź do pokoju i wręcz jej kwiaty osobiście.

- Dobry wieczór, Klaro, dawno się nie widzieliśmy.

Czyżby? - pomyślał Hornet.

- Witaj, Piotrze. Cieszę się, że przyszedłeś. Dziękuję bardzo za kwiatki.

Pamiętałeś o mnie?

Widzisz, Adasiu, starsi panowie są jednak szarmanccy.

Na bezczelności jej jednak nie zbywa - stwierdził w myśli Adam.

- Zawsze byłem dobrego zdania o manierach Piotra - dodał głośno.

Po piętnastu minutach towarzystwo było już prawie w komplecie.

Klara z wdziękiem pełniła obowiązki pani domu, troszcząc-się jednakowo o wszystkich gości. Nie знаła jedynie wysokiego, szpakowatego mężczyzny, który przedstawił się jako Artur Starski. Z jego rozmowy z gospodarzem zorientowała się, że musi to być jeden z szefów „Telefilmu”.

Adam wspomniał o zamiarze sprzedania zrealizowanych za granicą filmów właśnie tej agencji. O pieniądze potrafi zabiegać - pomyślała z uznaniem. Sama również nimi nie gardziła i dlatego nie widziała nic niewłaściwego w tym, że za ten sam materiał chciał zainkasować pieniądze z dwóch źródeł. Podeszła do rozmawiających niosąc kieliszki z alkoholem. Adam rozprawiał właśnie o wyprawie do Toquepali, największej w Peru kopalni miedzi oddanej w koncesję Southern Peru Copper Corporation.

- Tak, to bardzo interesujące - komentował Starski, kiedy Adam opowiadał mu o koszmarnych warunkach pracy w kopalni położonej na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Panuje tam niesamowity upał, wprost brakuje powietrza, i nawet Indianie, przyzwyczajeni od lat do ciężkich warunków, zaczynają się buntować. - To zwiedził pan kawał świata - stwierdził Starski.

- I to z korzyścią dla pańskiej firmy - uśmiechnął się Adam.

- Oczywiście, nasze warunki uzgodniliśmy wstępnie przed pana wyjazdem; do szczegółów będziemy mogli wrócić prawdopodobnie już w przyszłym tygodniu.

- Czy nie wstyd tak zaniedbywać panie? - przerwała im Klara.

- Och, istotnie, bardzo panią przepraszamy - Starski ujął dłoń Klary i podniósł ją do ust.

Stary kokiet - skrzywił się w duchu Adam.

Wejście następnego gościa poprawiło humor Wenera. Był to Ryszard Jaworski, znany i ceniony reżyser filmowy. Piotr ukończył właśnie przeznaczony dla niego scenariusz i ciekaw był opinii. Poza tym chciał się czymś zająć. Twarz Adama, kiedy witali się, wydała mu się dziwna.

Czyżby coś podejrzewał? Od godziny już unikał wzroku Horneta i nawet nie usiłował podejść do Klary. Zbytek ostrożności nigdy nie zawadzi - pomyślał z przekonaniem. Znał impulsywny charakter Adama i za wszelką cenę chciał uniknąć awantury. Gdyby mógł przewidzieć atmosferę tego spotkania, wykręciłby się pod byle jakim pretekstem. Teraz ten chłodny i taksujący jego i Klarę wzrok Adama bardzo mu się nie podobał.

Kiedy Ryszard swobodnie rozsiadł się na kanapie i został przez uczynną Klarę zaopatrzony w trunki, podszedł do niego Werner.

- Może to i nie wypada w towarzystwie, ale chciałbym, żebyś rzucił okiem na mój scenariusz. Ostatnio wprawdzie nie pisało mi się najlepiej, ale sądzę, że ta rzecz powinna ci się podobać.

- U mnie masz zawsze doskonałą markę. Zresztą opowiadałeś mi już trochę i mam nawet wstępną koncepcję filmu. Może dasz mi to do przeczytania, a za kilka dni skontaktujemy się telefonicznie.

Werner wyszedł do hallu, skąd po chwili wrócił niosąc czarną skórzaną aktówkę. Po otwarciu wyciągnął z niej maszynopis.

- Proszę państwa! Oto mam zaszczyt zaprosić na wieczór autorski Piotra Wenera! - zawołał błaznując lekko już podpity Hornet.

Zdenerwowanemu Piotrowi upadła na ziemię teczka, z której wysunął się jakiś przedmiot. Był to ozdobny sztylet ze srebrną rękojeścią wyobrażającą pomorskiego gryfa, trzymającego w szponach gdzieś pokrytą rdzą stalową klingę.

- Widzę, że chodzisz uzbrojony - skomentował to natychmiast Adam.

- Pokaż to cacko, Piotrze - poprosił Ryszard. - Do czego właściwie służy ci ten sztylet?

- Kupiłem go wczoraj rano w „Desie” i tak mi przypadł do gustu, że noszę go przy sobie. Używam go do przecinania kartek, a może również służyć jako zakładka.

Kilka osób podeszło i oglądało z zainteresowaniem oryginalny przedmiot.

- Wygląda, jakby były na nim ślady krwi - autorytatywnie orzekł operator Marcin Dobosz, kolega Horneta z wytwórni.

- Może dorobisz jakąś legendę i wykorzystasz to do nowej powieści? - spytała Klara.

- Moje dzieci, ostrze pokryte jest zwyczajną rdzą, ale widać, że nie zbywa wam na fantazji - zakończył dyskusję Piotr, chowając sztylet do teczki. Zamknął aktówkę na zamek i postawił ją obok siebie. - Ale uważaj, Rysiu, na scenariusz, niestety nie mam drugiego egzemplarza - zmienił temat zwracając się do Jaworskiego.

- To może lepiej będzie, jeśli go jeszcze zatrzymasz przez kilka dni? - zaproponował tamten.

- Jeżeli już jesteśmy przy ostrych narzędziach, to pokażę wam coś ciekawego - odezwał się Hornet. Z podróżnej torby stojącej w pobliżu kominka wyciągnął worek ze strzałami. Wyjął delikatnie jedną sztukę. - Oto myśliwska broń Indian - rzekł zwracając się do zebranych.

Opowiedział o przygodzie na lotnisku w Rio.

Po chwili Jaworski zapytał z niepokojem:

- Mam nadzieję, że te strzały nie są zatrute?

- Chyba nie. Dostałem je w prezencie od jednego Metysa z Puerto Asis.

To miejscowość w Kolumbii na pograniczu z Ekwadorem. Wprawdzie preparowano tam wyciągi z roślin, używając ich następnie do zatruwania strzał, obrzędów rytualnych czy wykonywania „wyroków boskich”, ale nie podejrzewam starego o taki makabryczny dowcip. Należy przypuszczać, że wykonuje tysiące takich strzał na użytek żądnych sensacji turystów.

- Czy przywoziłeś jeszcze coś ciekawego? - spytał Henryk.

- Tak. Tu jest wachlarz do rozniecania ognia, rzecz bardzo przydatna na wszelkich biwakach, zwłaszcza dla takich skautów jak ty - zażartował.

- A to są zatyczki do rozciągania uszu.

- Do czego? - z niedowierzaniem zapytała Agnieszka.

- Jeżeli piękność peruwiańska czy kolumbijska chciała powiększyć swoją małżowinę uszną do rozmiarów sporego półmiska, wówczas wkładała to w uszy - odpowiedział Hornet.

- Interesujące! Można to wykorzystać w zawsze rewelacyjnej „przekrojowej” kolekcji mody! - odezwała się dotychczas milcząca Ewa Gunter, ubiegłoroczna absolwentka wydziału reżyserii łódzkiej szkoły filmowej.

- Poza tym mam jeszcze niezły zbiór minerałów i ciekawe kopie dwóch kalendarzy azteckich. Jeden z nich to „rachunek roku” podzielony, jak widzicie, na osiemnaście grup po dwadzieścia dni, plus pięć dni przynoszących nieszczęście, a drugi - „rachunek dni”. Stanowi on rodzaj kalendarza astrologicznego, mającego określać pomyślny lub niepomyślny charakter każdego dnia.

- Bardzo wzbogaciłeś wiedzę przez ten rok - stwierdził Werner, nie mogąc powstrzymać ironii.

- Ja tobie nie wypominam, o co się w ostatnim czasie wzbogaciłeś - odparował Adam ze złością.

- Może napijemy się czegoś - pospiesznie wtrąciła Klara. - Zapasy w lodówce wydają się niewyczerpane. Adam, przynieś jeszcze kilka butelek.

- Po zmontowaniu pokażę ci w wytwórni kilka swoich filmów z wyprawy - odezwał się Adam do Jaworskiego, wracając do pokoju. - Poza Urugwajem, Argentyną i Boliwią zwiedziłem całą Amerykę Południową. No i oczywiście kawałek Meksyku. A ponieważ Werner nie kandyduje aktualnie do żadnej nagrody, może ja zrobię mu konkurencję i opublikuję zbiór reportaży z ostatniej podróży.

- Adam, zmityguj się trochę - szepnął błagalnie Henryk podchodząc do

niego. - Głupio mi teraz, że wspomniałem ci o Klarze i o Piotrze...

- Nie potrzebujesz sobie tego wyrzucać, bo i tak bym się kiedyś dowiedział. Aha, wspomniałeś przecież, że Agnieszka również coś na ten temat mówiła. Muszę z nią pogadać.

- Nie rób sensacji! Możesz ją spytać innym razem. Zresztą Agnieszka nie wie, że z tobą o tym rozmawiałem, i będzie głupio się czuła. Słuchaj, może rzeczywiście Klara częściej się z nim widywała, ale nie musiało w tym być nic zdrożnego. Przecież ona cię kocha.

- Kocha raczej moje pieniądze... No dobrze, ale teraz się napijmy.

- Czy nie za dużo dziś wypiliśmy?

- Wręcz przeciwnie. A nawet gdyby, to przy takiej okazji...

Podszedł do Jaworskiego, który z zainteresowaniem oglądał egzotyczne pamiątki.

- Wypijmy, przyjacielu mojego przyjaciela! Pozwolisz, że wzniosę toast za pomyślność twojego nowego filmu, który zrealizujesz w oparciu o scenariusz najlepszego literata wśród mieszkańców Modrzewia. Jak ci może wiadomo, w Modrzewiu jest również inny pisarz, emeryt, który układa ludziom pozwody do sądu lub przepisuje na maszynie podania do rady narodowej. Jego dorobek literacki jest większy niż Piotra, ale Werner ma plecy w związku literatów.

Piotr chciał już ostro zareagować na niewybredne zaczepki Horneta, ale spojrzawszy na bladą Klarę postanowił znieść jeszcze jedno upokorzenie.

Co on może o nas wiedzieć? - myślał z niepokojem. Czyżby Klara wyznała mu wszystko w przyływie skruchy? Nie, to raczej niemożliwe.

Nic by na tym nie zyskała. Inny może potrafiłby dziewczynie przebaczyć, ale taka kreatura jak Hornet!

Postanowił, że w najbliższych dniach porozmawia poważnie z Adamem.

Dzisiaj jednak, ze względu na Klarę, musi zrezygnować z ostrzejszych sformułowań i cierpliwie wysłuchiwać impertynencji. Wstał z krzesła i podszedł do Klary rozmawiającej właśnie z Agnieszką.

- Przepraszam cię. Czy nie wiesz przypadkiem, o co Adam ma do mnie pretensję? Dopiero przyjechał, widzimy się pierwszy raz, a tu nagle takie rzeczy...

- Nie mam pojęcia. Może nie zdążył się jeszcze zaaklimatyzować, a może ktoś naopowiadał mu jakichś głupstw. Ale nie bierz sobie tego zanadto do serca. Jak wytrzeźwieje, to mu na pewno przejdzie i cię przeprosi.

- Mam nadzieję.

- Ale na wszelki wypadek może być Klary dziś nie adorował. Po co wywoływać wilka z lasu - odezwała się Agnieszka.

- Może i masz rację, ale on wyraźnie szuka zaczepki.

Gdy Piotr oddalił się, Klara zagadnęła przyjaciółkę: - Nie orientujesz się, z kim Adam wczoraj się widział? -

- Nie wiem. On ci nic nie mówił?

- Nie mieliśmy czasu, żeby porozmawiać. Zresztą tak tylko pytam...

Przepraszam cię na chwilę, pójdę przygotować kawę. Niektórym gościom na pewno się to przyda.

Agnieszka usiadła przy kominku i skinęła na Henryka.

- Widziałeś się wczoraj z Adamem?

- Spotkałem go „Pod Dzwoneczkiem”. To było przed południem, kiedy czekałem na ciebie. Porozmawialiśmy kilka minut, zaprosił nas na dzisiejszy wieczór, a nawet pożyczył ode mnie kilka złotych, bo nie miał jeszcze polskich pieniędzy.

- Nie mówiłeś mu nic o Piotrze?

- Nnie... A co właściwie miałem mu powiedzieć? Myślisz o jego spotkaniach z Klarą? Przecież oni się znają od lat, a że parę razy byli tu i ówdzie, to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Tak, ale zawsze znajdzie się ktoś usłużny i nie omieszka udzielić informacji.

- Mówiąc prawdę, to nawet próbowałem dziś uspokoić Adama, bo w

powietrzu wisiała awantura. Chciał również z tobą porozmawiać, ale mu wytłumaczyłem, że to nie ma sensu.

- Ze mną? A po co?

- A bo ja wiem? Może chciał dowiedzieć się czegoś o wierności Klary, a uważał, że ty, jako słaba płeć, prędzej mu coś powiesz?

- Głupstwa pleciesz! Klara jest moją przyjaciółką.

- Żartowałem. A właściwie dajmy sobie z tym spokój. Ostatecznie niech Adam się martwi.

- Masz rację. Posiedź chwilę sam, a ja pójde pomóc Klarze w kuchni.

Temperatura przyjęcia gwałtownie wzrastała.

- Powiedz, Marcin, co słyhać w wytwórni - zaczął Adam Dobosza.

?- Jest trochę plotek, ale co ci będę opowiadał. Sam się zorientujesz, kiedy przyjedziesz na Chełmską. Teraz mogę ci tylko powiedzieć, że nasza Ewa zrobiła wspaniały film o młodych narkomanach. Przekonasz się w czasie kolaudacji. Wtajemniczeni twierdzą, że będzie miał duże szanse na przyszłorocznym festiwalu w Krakowie.

- Gratuluję. Kiedy byłaś jeszcze na studiach, byłem zdania, że masz talent, Ewo. A kto był operatorem?

- Marcin - odpowiedziała zmieszana Ewa.

- No tak, teraz wszystko rozumiem - zażartował Adam. - W tej sytuacji „Lajkonik” jest pewny.

- A może wybierzemy się jutro na zieloną trawkę? To chyba byłby ostatni raz w sierpniu - zapytał Tomasz Krajewski, kolega Ewy po fachu.

- Pojechałbym z wami chętnie - odezwał się Adam - ale nie mogę.

Nie widziałem się jeszcze z matką i powinienem pojechać do niej na obiad. Zostanę chyba do wieczora.

Po kilku następnych kieliszkach wojowniczy nastrój Adama przybrał na sile. Rozejrzał się szukając wzrokiem Wenera. Ten zajęty był właśnie rozmową z Henrykiem.

- Słyszałem o pańskim spotkaniu z czytelnikami w Klubie Księgarza.

Podobno było nadzwyczaj udane?

- Istotnie. Muszę przyznać, że byłem mile zaskoczony, zwłaszcza postawą młodzieży. To inteligentni i bardzo wrażliwi ludzie. Otrzymałem kilka ciekawych propozycji od organizacji młodzieżowych. Interesuje ich koncepcja modelu młodego człowieka lat siedemdziesiątych; jego zaangażowanie, ambicje życiowe, aspiracje... W odróżnieniu od konsumpcyjnego podejścia do rzeczywistości, jakże często obserwowanego u wielu ludzi...

- Nie wiedziałem, że zajmuje się pan również problematyką młodzieżową.

- Jako pisarz i człowiek bądź co bądź z pewnym życiowym doświadczeniem mam na ten temat nieco do powiedzenia. Pewne przemyślenia...

- Nie do wiary! - zawołał, podchodząc Adam. - Nie zazdroszczę rodzicom tych młodych ludzi, których miałbyś wychowywać. Nadawałbyś się raczej do ich deprawacji. Ty i antykonsumpcyjny tryb życia! To jeden z lepszych kawałów, jakie ostatnio zdarzyło mi się słyszeć!

- Przepraszam pana bardzo - zwrócił się Werner do Henryka - może innym razem skończymy tę rozmowę. Widzę, mój drogi - spojrzał na Adama - że ty nie powinieneś mówić o dobrym wychowaniu. Właśnie dałeś wspaniałą próbę. Wydaje mi się jednak, że łączące nas dotychczas stosunki przyjaźni powinny mieć jakiś wpływ na twoje zachowanie.

- Mam podstawy wątpić w twoje przyjacielskie uczucia - odezwał się zaczepnie Adam.

- Nie bardzo cię rozumiem. Może trochę za dużo wypiełeś, to by wiele tłumaczyło. Myślę, że kiedy dojdiesz do siebie, zadzwonisz i co najmniej wyjaśnisz swoje postępowanie. Należałyby mi się przeprosiny.

- Ja miałbym cię przeproszać!?! Chyba kpisz?

Werner bez słowa wstał, skłonił się pozostałym gościom i zabierając leżącą obok niego teczkę opuścił towarzystwo.

Po jego wyjściu goście umilkli. Nieporadne próby Adama, zmierzające do przywrócenia poprzedniego nastroju, spełzły na niczym. W krótkim czasie mieszkanie opustoszało.

- I co ty najlepszego zrobiłeś? Chyba nie po to zapraszasz gości, by ich potem obrażać?

- Coś za bardzo trzymasz stronę Piotra. Z tobą też będę musiał porozmawiać. Ładne rzeczy działy się w czasie mojej nieobecności, nie ma co! Nikomu dziś nie można ufać. Zresztą zostawmy ten temat.

- Słuchaj, nie wiem, o co ci chodzi. Zawsze, kiedy za dużo wypijesz, zaczynasz rozrabiać. Coraz mniej mi się to podoba. Wychodzę. Możesz mnie nie odprowadzać, jakoś dam sobie radę.

Kiedy za Klarą zatrzęsły się drzwi, Adam rzucił się na tapczan.

VI

Klara wyszła ze szpitala dopiero o siedemnastej. Niecierpliwie czekała na Hankę, która tego dnia miała ją zmienić. Oczywiście, ta zamiast być o szesnastej trzydzieści, spóźniła się piętnaście minut. Klara chwilę przekazywała, nieliczne zresztą, informacje o chorych, potem szybko przebrała się, zadzwoniła do ciotki, że wróci później, i wyskoczyła na ulicę. Umówiła się z Adamem, że przyjedzie do niego mniej więcej o szóstej.

Tego dnia od rana zanosilo się na deszcz; było pochmurno i od czasu do czasu zrywał się wiatr. Klara stanęła na chodniku i rozglądała się za taksówką. Jak na złość nic nie jechało, a do najbliższego postoju miała chyba z osiemset metrów. Zdecydowała się wreszcie na jazdę tramwajem.

Udało się, ledwie zdążyła wykupić bilet, nadjechał pociąg. Musiała pobiec, by uniknąć półgodzinnego czekania na następny. Nieco zdyszana opadła na ławkę, wyjęła z torebki „Ex-press”, którego nie zdążyła jeszcze przejrzeć, i zabrała się do lektury. Już na pierwszej stronie natknęła się na duży artykuł pod frapującym tytułem: „Nasza moda wytrzymuje konkurencję z kolekcjami wiodącymi”. Prognozy mody-na nadchodzący sezon tak ją zainteresowały, że o

mało nie przejechała stacji. Dopiero kiedy spojrzała w okno i prawie automatycznie zarejestrowała charakterystyczny, jadowicie zielony drewniany dom, stojący obok budynku stacyjnego, zorientowała się, że pociąg stoi w Modrzewiu. Wsiadła w ostatniej chwili, trochę już tym wszystkim zdenerwowana. Nieliczni wysiadający rozchodzili się w przeróżne strony. Klara podniosła kołnierz płaszcza i ruszyła skrajem brukowanej drogi. Na skrzyżowaniu wahała się przez chwilę. Mogła zejść z drogi i ruszyć na przełaj, ale kiedy pomyślała, że zyska na tym niewiele więcej niż pięć minut, zdecydowała się pójść normalną trasą. W praktyce oznaczało to spacer przez las, najpierw tak zwaną ulicą Szewską, potem Brzozową, wreszcie niewielka polanka i tuż za nią był już dom Adama. Samochodem dojazd był oczywiście dużo dogodniejszy, gdyż w pobliżu domu przebiegała ulica z prawdziwego zdarzenia, która dalej dochodziła do szosy warszawskiej. Ze stacji jednak nikt tamtędy nie chodził. Było po prostu za daleko.

Idąc pomyślała, że jeśli jej małżeństwo z Adamem dojdzie kiedykolwiek do skutku, spróbuje namówić go do sprzedaży domu i przeniesienia się do Warszawy. Zawsze czuła się nieswojo w tym lasu, a wieczorem nie poszłaby tędy za nic w świecie. Czytała w prasie o chuligańskich zaczepkach, a nawet zuchwałych napadach, które w tej okolicy nie należały, niestety, do rzadkości. Patrole milicjantów w cywilu uspokoiły nieco miejscowych „kozaków”, ale milicjanci nie mogli być przecież we wszystkich miejscach naraz.

To jedna sprawa, a druga, wstyd się przyznać, ona po prostu bała się duchów. Może miały na to wpływ słyszane w dzieciństwie opowieści babki, która była specjalistką od takich „prawdziwych historii”, dość że przechodząc wieczorem koło parku, nawet w samym środku stolicy, wołała nie oglądać się na boki. A teraz znowu niepotrzebnie sobie o tym przypominałam - pomyślała ze złością.

Przechodziła właśnie koło starego dębu, przy którym powinna skrócić w prawo na polanę, gdy potknęła się nagle o jakiś wystający korzeń.

Jednocześnie usłyszała krótkie furknięcie i mocne uderzenie w drzewo.

Krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Dwa kroki od niej, mniej więcej na wysokości ramienia, tkwiła w dębie długa strzała. Rozejrzała się przerażona, ale rosnące po obu stronach wydeptanej ścieżki krzaki uniemożliwiały i tak dostrzeżenie czegokolwiek. Biegła w kierunku domu, nie widząc, że zboczyła ze ścieżki i nie czując, że krzewy jeżyn drapią jej nogi do krwi. Bez tchu dopadła furtki, przebiegła przez trawnik i zatrzymała się dopiero przy drzwiach. Z całej siły przycisnęła guzik dzwonka. Dopiero po dłuższej chwili, gdy zorientowała się, że nikt nie reaguje na dzwonienie, do jej świadomości doszło, że ma w torebce zapasowe klucze. Już nieco spokojniejsza rozejrzała się wokoło. Odnalazła klucze, trzęsącą się jeszcze ręką przekręciła je w zamku, weszła do środka i dopiero, kiedy zatrzaskała za sobą drzwi, poczuła jak bardzo jest wyczerpana. Nie zdejmując płaszcza przeszła do pokoju i usiadła w fotelu.

Wciąż jeszcze nie była w stanie zebrać myśli. Ale gdzie jest Adam? - przeraziła się. Zawołała go głośno, ale w domu panowała niczym nie zmałona cisza. Przemogła się, wstała, obeszła wszystkie pomieszczenia i wróciła do hallu. Stała u stóp schodów wiodących na piętro i znów zawołała Adama. Żadnego odgłosu. Nagle postyszała szcęk klucza obracającego się w zamku. Poczula, że włosy jeżą się jej na głowie.

Skoczyła w kierunku fotela i ukryła się za jego wysokim oparciem. Drzwi otwarły się i wszedł Adam. Kiedy wychyliła się ze swego ukrycia, drgnął przestraszony:

- Klara! Co tu robisz?

- Jak to, co tu robię? Gdzie się podziewasz? Przecież byliśmy umówieni!

Dlaczego tak długo cię nie było? Dlaczego na mnie nie czekałeś? Przed chwilą chcieli mnie zabić! No mów! Co tak stoisz?

- Uspokój się! Kto? Gdzie? O czym ty mówisz?... Wybacz, jestem jeszcze trochę zdyszany, bo biegłem, gdyż bałem się spóźnić. Byłem w kiosku. Wiesz, to dosyć daleko, za fryzjerem. Ale powiedz, co się stało?

Dlaczego jesteś taka blada?

- Ktoś strzelił do mnie, kiedy przechodziłam koło dębu. Ledwo uciekłam...

- Z czego strzelił? I skąd wiesz, że do ciebie? To niesłychane!

- Nie wiem z czego. Usłyszałam tylko trzask, a kiedy się odwróciłam, w dębie tkwiła strzała. Długa, chyba na dwa metry!

- To niemożliwe. Skąd by się wzięła strzała? Wzięłaś ją może ze sobą?

- Akurat miałam ochotę na wyciągnięcie jej z drzewa, żeby tobie pokazać!

Rzuciłam się do ucieczki. Już nigdy nie pójdę przez ten przeklęty las!

Dlaczego mieszkasz na takim odludziu? Dlaczego się gdzieś wałęsasz, zamiast czekać na mnie?

- Przecież tłumaczę ci, że byłem w kiosku. Myślałem, że zdążę przed twoim przyjściem. Proszę, postaraj się uspokoić.

Zdjął z niej płaszcz, powiesił na wieszaku i delikatnie podtrzymując jej ramię zaprowadził do pokoju.

- Siadaj. Za chwilę przygotuję coś do picia. Usiadła posłusznie. W jego obecności poczuła się lepiej. Była teraz pewna, że nic jej nie grozi. Po chwili wrócił Adam z kieliszkiem wódki.

- Wypij to. Nastawiłem już maszynkę. Zaraz będzie kawa.

- Wolę herbatę. W szpitalu wypiałam chyba ze cztery kawy.

- Dobrze. A teraz opowiedz mi, ale dokładnie, jak to było.

Powtórzyła jeszcze raz to samo. Adam zamyślił się.

- Czy zauważyłaś, że ktoś za tobą szedł?

- Nie oglądałam się, ale jestem przekonana, że wokoło nie było żywego ducha.

- Myślę, że padłaś ofiarą zwykłej halucynacji.

- Nie rób ze mnie idiotki. Chyba jeszcze potrafię odróżnić strzałę od... -
zawahała się.

- Od suchej gałęzi, co? Po prostu wiał wiatr, złamała się i spadła jakaś

sucha gałąź, a kiedy obejrzałaś się, twój wzrok padł na jakiś wystający konar, a że masz bujną fantazję i... przyznaj się kochanie, zawsze się trochę boisz, uznałaś, że ktoś dybie na twoje życie. Zresztą przekonasz się sama, że mam rację. Pójdziemy teraz do dębu, obejrzymy go dokładnie i będziesz już pewna, że ta strzała jest tylko wytworem twojej wyobraźni.

- Nie, nie chcę. Boję się...

- Czego? Przecież pójdę z tobą. Jest jeszcze dość jasno, a do dębu nie więcej jak sto metrów. Jeśli nie sprawdzisz sama i nie przekonasz się, że uległaś złudzeniu, nigdy nie pozbędziesz się strachu.

- Dobrze. Chodźmy. Ale weź coś...

- Nie bądź dziecinna. Poza tym nie mam karabinu ani rewolweru - zażartował. - No, idziemy.

Przecieli polanę. Klara chwyciła Adama za rękę i szła za nim, kryjąc się za jego plecami.

- Przestań się wreszcie bać. Przecież nawet gdyby ktoś tu był, nie czekałby na nas. Pokaż teraz, którędy szłaś.

- O, tędy. Skręciłam z drogi koło dębu, minęłam go i wtedy to się stało.

Adam obszedł dąb dookoła.

- Nic tu nie widzę. Żadnego śladu na korze. Tu naprawdę nie było nikogo. Zresztą las jest rzadki, widać mój dom i kilka innych nieco dalej.

Okolica nie należy do najweselszych, to prawda, ale w końcu do wieczora jeszcze daleko. Zgódź się, że to wiatr, i dajmy temu spokój. W lesie tak zawsze, byle szelest może zabrzmieć jak huk.

Klara rozglądała się nieufnie, jeszcze raz zbliżyła się ostrożnie do drzewa i wreszcie zaczęła się uśmiechać.

- Może masz rację, Adasiu. Już' od piątej byłam trochę zdenerwowana.

Najpierw spóźniła się koleżanka, potem ledwo zdążyłam na pociąg, prawie przegapiłam Modrzew, a idąc tędy przypominałam sobie babcię i jej duchy. Teraz mnie przekonałeś, ale wtedy dałabym głowę, że to była strzała...

- A więc już po strachu. Wracajmy do domu. Pewnie jesteś głodna, a i ja chętnie bym coś przekąsił.

- Nie chce mi się jeść, ale może pojedziemy do Warszawy. Tam coś zjesz, a przy okazji odwiedzisz mnie do domu.

- Zostań u mnie. Przecież tak się umawialiśmy. Wszystko już przygotowałem. Ty zajmiesz się kuchnią, a ja przyrządzę coś do picia. Kupiłem nowe płyty. Potem cię odwiozę.

- Nie mogę. Cały czas czuję dziwny niepokój. Tłumaczę sobie, że jestem nierozsądna, ale to silniejsze ode mnie. Proszę cię, pojedźmy do Warszawy. Spotkamy się u ciebie innego dnia. Ale wtedy będziesz musiał wyjść po mnie na stację.

- Jak wolisz... - zgodził się niechętnie. - Ostatecznie, jeśli masz źle się czuć...

- Tak. I ty straciłbyś przy mnie humor. Wiem, że nie byłabym dziś dobrym kompanem.

VII

Kapitan Michał Janowicz był w ponurym nastroju. Poprzedniego dnia, ostatnio zdarzało się to coraz częściej, siedział dość długo w gmachu komendy, porządkując materiały w sprawie, nad którą pracował już od dwóch tygodni. W zamkniętym samochodzie w południowej części Puszczy Kampinoskiej znaleziono rozkładające się zwłoki inżyniera Nawrockiego, głównego technologa jednego z podwarszawskich zakładów. Tego lata panowały nieznośne upały, łatwo więc sobie wyobrazić, jak wyglądały szczątki inżyniera. Najpierw były trudności z identyfikacją, gdyż samochód pozbawiony był tablic rejestracyjnych. Po numerze silnika ustalono wreszcie, że wóz był własnością pewnej kobiety, która jeszcze na początku lipca złożyła meldunek o kradzieży samochodu na terenie Trójmiasta. Sprawa komplikowała się. Na razie Janowicz nie miał nawet zbyt wielu hipotez. Wczoraj wychodząc z komendy postanowił trochę odpocząć.

Kiedy o dziesiątej przekroczył próg sekretariatu Wydziału Kryminalnego, sekretarka aż podskoczyła na jego widok:

- Panie kapitanie, już od godziny szuka pana naczelnik. Chciał nawet wysłać samochód.

- Dobrze, dobrze. Kiedy człowiek siedzi na miejscu, nikt go nie potrzebuje, a jak go nie ma... Wstałem dziś trochę później, potem poszedłem się przejść.

- To chyba dlatego telefon nie odpowiadał...

- Na pewno. Mam tam wejść? - zapytał wskazując drzwi do gabinetu naczelnika.

- W tej chwili naczelnik jest u pułkownika Rembowicza. Prosił, aby pan poczekał. Ale otóż i towarzysz naczelnik...

- Melduje się kapitan Janowicz...

- Dzień dobry, kapitanie. Dobrze, że jesteście. Proszę do mnie. Pani Regino, proszę zawiadomić porucznika Zalewskiego, że oczekuję go u siebie. Niech zaraz przyjdzie.

- Tak jest. Już do niego dzwonię.

Janowicz wchodząc do gabinetu naczelnika zastanawiał się nad powodem tak pilnych poszukiwań. Pomyślał, że z pewnością nastąpi to, czego właściwie mógł oczekiwać. Padną pytania na temat śmierci inżyniera Nawrockiego, pytania, na które sam chciałby znać odpowiedź.

Zameldował się Zalewski.

- Nie proszę was, żebyście siedli, bo wezwał nas wszystkich pułkownik Rembowicz. Właśnie od niego wracam. Sam jeszcze nie wiem, o co chodzi, ale nie spodziewajcie się, że stęsknił się za waszym widokiem.

Sądzę po jego minie, że nie jest to najlepszy dzień w jego życiu.

- Ja o sobie też nie mogę tego powiedzieć - mruknął Janowicz.

- Przestańcie. I żebyście się z niczym takim nie wyrwali u szefa. Ostatnio nie mamy powodów do dumy. Idziemy.

Ledwo weszli do sekretariatu komendanta wojewódzkiego, sekretarka oznajmiła, że pułkownik prosi. Pułkownik Rembowicz siedział za biurkiem przeglądając jakieś papiery. Na ich widok podniósł się i wyszedł naprzeciw.

- Siadajcie, towarzysze. - Mówił jak zwykle powoli, trochę beznamiętnie.
- Otóż otrzymałem wiadomość, że dziś o dziewiątej trzydzieści w Modrzewiu znaleziono zwłoki literata, Piotra Wenera. Jak się zorientujecie na miejscu, samobójstwo jest wykluczone. Krótko mówiąc, kierownictwo komendy postanowiło powierzyć sprawę wam, kapitanie Janowicz. Dlatego tu jesteście. Muszę dodać, o czym chyba sami wiecie, że Piotr Werner był znaną postacią i jego śmierć wywoła natychmiast żywy oddźwięk w środowisku. Skądinąd uważam, że sprawa ta jest wyjątkowo ważna. Kapitanie Janowicz, uzgodnijcie z waszym naczelnikiem, kogo weźmiecie sobie do pomocy. Sprawę Nawrockiego przejmie porucznik Zalewski. To wszystko. Czy macie pytania?

Jeśli nie, to proszę natychmiast przystąpić do działania.

Kiedy już wychodzili, pułkownik dorzucił już innym tonem: - Liczę na was, kapitanie.

- Wiem o tym. - Napotkawszy groźne spojrzenie naczelnika, Janowicz dodał pospiesznie: - I dlatego nie zawiodę nadziei, towarzyszu pułkowniku.

- I co ty na to? - odezwał się z pewnym niepokojem i podejrzenie przymilnie naczelnik.

- A to, że tego właśnie brakowało mi do szczęścia! Zawsze Janowicz tu, Janowicz tam, liczymy na was i temu podobne gadanie. A bezpośredni przełożony ani słowa, choć wie, że Janowicz też człowiek...

- No, nie denerwuj się. Wszyscy wiedzą, że trudne sprawy tylko tobie wychodzą... Z pewnością dasz sobie doskonale radę i teraz.

- Niech tylko znajdę bałwana, który urządził tego Wenera!

- O właśnie - ucieszył się naczelnik. - Spodziewałem się, że to ciebie zainteresuje. Chodźmy do mnie na kawę.

- Ale sam przygotuję!

- Zgoda.

Usiedli wygodnie w fotelach, a za chwilę pani Regina wniosła na tacy filiżanki.

- Niech będzie - machnął ręką Janowicz. - Jeszcze raz spróbuję wypić tę lurę. Słuchaj, prawdopodobnie i tobie zależy, żeby sprawa tego... Wenera zakończyła się jak najszybciej i oczywiście ujęciem sprawcy?

- To chyba jasne. Do czego zmierzasz?

- Powiedz, czy mam pewną swobodę działania?

- No tak, ale...

- To biorę Zalewskiego.

- Co?! Oszalałeś chyba? Wiesz przecież, że...

- Wszystko wiem, ale bez niego się stąd nie ruszam.

- Ależ człowieku, nie ma ludzi, wszyscy zapracowani, a ze sprawy Nawrockiego też muszę się wyliczyć.

- Jest wyjście. Dasz sprawę Ratkiewiczowi. Wiem, że ma trochę luzu. A chyba i ty nie odmówisz mu światłej rady i pomocy?

- Ja mam i tak masę obowiązków. A niech jeszcze coś wyskoczy, to już nie wybrnę.

- Będziesz się martwił, jak coś wyskoczy. Na razie chciałbym zabrać Zalewskiego. Obserwowałem go. To bystry chłopak. Szkoda wpakować go w sprawę, którą kto inny zaczął, a która i tak jakoś wyjdzie. Nie myśl, że siedziałem dotąd beczynn timer. Porozmawiam z Ratkiewiczem i wprowadzę go w swoje przemyślenia. A więc zgoda?

- Ja mam do ciebie jakąś dziwną słabość... a wreszcie sprawa Wenera jest w tej chwili najważniejsza. Niech będzie. Bierz tego swojego Zalewskiego i już was tu nie widzę. Ale pamiętaj!

- Pamiętam, pamiętam...

- Laboratorium. Słucham.

- Tu Janowicz. To ty, Kostek? Fajnie. Słuchaj, wpadła mi znowu grubsza

robota. Potrzebuję najlepszego z twoich artystów. Niech weźmie wszystko, co trzeba, i kamerę filmową. Tak, w dziesięć minut.

- Wiesz co? Ja od pewnego czasu boję się podnosić słuchawkę, żeby nie usłyszeć twojego głosu. Jak by każdy tak chciał zaraz...

- Wiesz przecież, że ja to nie „każdy”. Masz kogoś pod ręką?

- Mam, mam.

- To dawaj. Czekam na dole.

Wpadł jeszcze po drodze do Ratkiewicza, który przywitał go ponurą miną, i umówił się z nim na następny dzień. Kiedy wyszedł przed gmach komendy, czekał tam już ekspert i Zalewski. Kierowca nysy zameldował gotowość.

- Jedziemy do Modrzewia. Po drodze podjedźcie pod szpital, zabierzemy doktora Brzeskiego.

- Coś ciekawego, kapitanie? - spytał ekspert ładując do samochodu sprzęt.

- Podobno. Gotowi? Ruszamy.

Już z daleka dostrzegli znajomą sylwetkę lekarza. Pomachał do nich ręką.

- Dzień dobry panom. - Doktor Brzeski był jak zwykle w dobrym humorze. Jako lekarz sądowy traktował swoje obowiązki z niebywałym zainteresowaniem i energią. Chętnie jeździł z ekipami, a już gdy wiedział, że sprawę prowadzi Janowicz, cieszył się szczególnie. Często po skończeniu obowiązków dzwonił do kapitana zasypując go pytaniami o przebieg śledztwa. Janowicz żartował, opowiadał mu jakieś niestworzone historie, które doktor Brzeski traktował serio, a oczy robiły mu się okrągłe z przejęcia. Nie gniewał się jednak, gdy później poznawał niek-które prawdziwe szczegóły, już bardziej prozaiczne. Toteż ledwie wsiadł do samochodu, zaraz zaczął:

- Panie kapitanie, jak ostatnia sprawa? Wie pan, kiedy kroilem Nawrockiego, pomyślałem sobie, że milicja w czasie upałów powinna działać operatywniej.

Janowicz zerknął kątem okna na Zalewskiego. Twarz podporucznika była

bardzo blada.

- Istotnie, w tamtym przypadku gość wypełniał samochód jak konserwa puszkę. Wyobrażam sobie, że nie było to dla pana, doktorze, najprzyjemniejsze zajęcie.

- Tak. Ale a propos konserwy, wyobraźcie sobie panowie, że jeszcze nie jadłem dziś śniadania. - Sięgnął do teczki, mrugnawszy przedtem do Janowicza.

- Panie poruczniku - dodał zwracając się do Zalewskiego - poczęstuje się pan?

- Nie mogę, panie doktorze... Po takim wstępie...

- Już dobrze - Janowicz klepnął Zalewskiego w ramię. - Doktor Brzeski tak zawsze. Przyzwyczajcie się i do tego. Może to nie najlepszy sposób na wyrabianie odporności, ale w naszej pracy widzi się takie rzeczy, że z czasem człowiek traci wrażliwość. Przyhamujcie na moment - zwrócił się do kierowcy i wystawił głowę za okno. - Panienko, gdzie mieszka pan Werner? - zagadnął przechodzącą dziewczynę.

- Teraz w lewo, a potem przez mostek na strumieniu. Pierwsza willa po lewej stronie.

- Dziękuję.

Nysa kołysząc się na wybojach wjechała w ulicę Białą. Przed widocznym już domem stała grupa ludzi, przy siatce ogrodzenia tkwił żółty samochód, a obok biała warszawa i kilka sylwetek w milicyjnych mundurach. ^-Zatrzymajcie się po drugiej stronie - rzucił Janowicz do kierowcy. - A wy od razu zabierzcie się do szkicu i zdjęć. Proszę doktorze, zobaczmy, co nam tu przygotowano.

- Obywatelu kapitanie, melduje się starszy sierżant Kosiński. Jestem komendantem posterunku w Modrzewiu. Zabezpieczyliśmy miejsce...

- Dziękuję. Kto zameldował o wydarzeniu?

- Ta kobieta. Mówi, że jest gosposią u Wenera. Zadzwoiłem zaraz do powiatu. Przyjechał inspektor Sawicki i sierżant Pawlak. Czekaliśmy tylko na obywatela kapitana.

- Byliście w środku?

- Tak. Tylko zajrzałem.

- Ci ludzie, to kto?

- Sąsiedzi. Pytałem już, ale nic nie wiedzą. Przyszli się pogapić.

- Lepiej niech idą do domu - zdecydował Janowicz. I zwracając się do stojących powiedział głośno: - Czy ktoś z państwa miałby coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Ja - z grupki wysunął się starszy już mężczyzna ubrany w czarny garnitur z kamizelką i tegoż koloru kapelusz. - Mieszkam najbliżej pana Wenera. Właśnie czytałem gazetę, kiedy ta pani, to znaczy gosposia pana Wenera, wpadła do mnie bardzo wystraszona. Krzyczała wciąż, że zamordowali pana. Kiedy była już w stanie powiedzieć dokładniej, o co chodzi, uznałem, że trzeba zawiadomić pana sierżanta Kosińskiego.

- Dziękuję panu. Na razie zorientujemy się w sytuacji. Gdybyśmy pana potrzebowali, to gdzie mamy szukać?

- To tamten dom. Numer osiem. A ja nazywam się Waldemar Rowicki.

- W porządku. Proszę, niech wszyscy wracają do domów. Zostanie tylko pani...

- Kucharska - odpowiedział komendant posterunku.

- Właśnie. Chyba będzie pani wolała zaczekać w naszym samochodzie, prawda?

Zapłakana kobieta skinęła w milczeniu głową.

- Szkic i zdjęcia gotowe, obywatelu kapitanie - odezwał się ekspert podchodząc do Janowicza.

- Dobrze. Wejdziemy teraz do środka. Wóz zrobicie później.

Janowicz włożył rękawiczki i ostrożnie pchnął drzwi wejściowe. Za nim wszedł Zalewski i lekarz. Znaleźli się w obszernym przedpokoju. Kroki tłumił sizalowy chodnik. Od razu spostrzegli otwarte drzwi prowadzące do jednego z pokoiów; w progu, głową w kierunku wnętrza, leżał na wznak mężczyzna w granatowej bonżur-ce i szarych spodniach.

Prawą rękę miał podkurczoną pod siebie. Wokół głowy rozległe plamy, odrzucona na bok metalowa taca, skorupy filiżanek i kieliszków.

Zatrzymali się.

- Na pana kolej, doktorze - odezwał się Janowicz.

Fotograf zdążył już zrobić parę zdjęć. Następnie przekroczył zwłoki i zaczął rozstawiać statyw stereoskopowego aparatu fotograficznego.

Doktor Brzeski otworzył walizeczkę, naciągnął gumowe rękawiczki i pochylił się nad denatem. Rozwiązał pasek bonzurki i rozchylił jej poły.

Po kilku minutach wyprostował się.

- Uderzenie tępym narzędziem w głowę w okolicę lewej skroni.

Prawdopodobnie ten cios ogłuszył tylko faceta. Rana kluta w klatkę piersiową w okolicy serca. Po przeprowadzeniu sekcji będziemy znali więcej szczegółów. Na razie mogę panu powiedzieć, że sprawca musiał posługiwać się czymś dość delikatnym, bo na bon-zurce nie ma śladu przecięcia. Po uderzeniu w głowę, kiedy ten człowiek już leżał, sprawca rozchylił bonzurkę i zadał ten drugi cios. W tej chwili nie mogę powiedzieć, jakiego narzędzia użył. Zastanawia mnie tylko jedna rzecz: śmierć musiała nastąpić nie wcześniej niż przed dwiema godzinami, ale stwierdziłem u denata dziwne zwiotczenie mięśni i rozszerzone źrenice.

Takie objawy występują na przykład po zażyciu silnego narkotyku. Niech pan spojrzy, kapitanie: w muszli ucha znalazłem mały odprysk, wygląda jak lakier do paznokci.

- Tak, istotnie - Janowicz ujął pincetą amarantowy płatek i włożył go do przezroczystej koperty. - Nie wygląda to jednak na lakier do paznokci.

Raczej na fragment przedmiotu, którym został uderzony w głowę. Okaze się po zbadaniu.

- Panie kapitanie - odezwał się Zalewski. - Niech pan spojrzy na ten gigantyczny ołówek! Tam, w wazonie. Ma podobny kolor, a sądząc z jego rozmiarów jest odpowiednio ciężki...

- Rzeczywiście. Zbadamy, czy nie ma na nim jakichś śladów.

Janowicz podszedł do biurka. W dużym kryształowym wazonie tkwił czerwony ołówek długości około siedemdziesięciu centymetrów i pięciocentymetrowej średnicy. W połowie długości przybita była srebrna plakietka z wygrawerowanym napisem: „Pisz dużo i tak dobrze jak dotąd.

Piotrowi - koledzy”. Ujął ołówek delikatnie za oba końce i obejrzał pod światło: - Widać tylko smugi; ołówek został dokładnie wytarty. To niemiecka reklamówka - dodał przyjrzawszy się bliżej. - Ofiarodawcy nawet przez chwilę nie przypuszczali, do czego posłuży ten oryginalny prezent.

Gotowe? - zapytał zwracając się do eksperta.

- Tak. Zabezpieczyłem trochę śladów na poręczach fotela i w kuchni.

Zabieram to ze sobą. Za dwa, trzy dni będzie gotowa ekspertyza.

- Weźcie jeszcze ten odprysk lakieru i ołówek do porównania. Rzeczywiście wygląda na to, że Werner został uderzony właśnie nim. Zabierzcie też do prosektorium zwłoki. Co miał w kieszeniach, doktorze?

- Tylko chusteczkę w kieszeni bonzurki. Poza tym absolutnie nic. Na mnie też już czas, panie kapitanie. Po sekcji zadzwonię.

- Chciałbym mieć wynik możliwie najszybciej. Zależy mi na tym.

- Wiem, ale nawet po znajomości to musi potrwać parę dni. Zrobię jednak, co będę mógł. Do widzenia. Zabiorę się nysą z fotografem.

- Na razie, doktorze. Aha, zajrzymy jeszcze do tego wozu. Może tam coś się znajdzie. Poruczniku Zalewski, zostańcie tu i czekajcie na mnie.

Rozejrzyjcie się trochę. Zaraz wracam. Po drodze przyprowadzę gosposię.

Wyszli przed dom. Ekspert manipulował przy fiacie. Podszedł komendant posterunku i sierżant Pawlak.

- Szkoda człowieka - odezwał się Kosiński. - Tyle lat tu mieszkał, wszyscy go szanowali. Zawsze taki uprzejmy, nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów.

- Ktoś musiał jednak mieć do niego jakieś pretensje. Czy możecie

przygotować mi na jutro listę jego znajomych w Modrzewiu? I popytajcie trochę, ale dyskretnie; macie chyba takie możliwości? Zbierzcie wszystko, co tylko będzie można: kto u niego bywał, jaki tryb życia prowadził...

- Tak jest. To nie będzie trudne. Mamy tu trochę kontaktów. Przysłać do komendy?

- Nie. Wpadnę tu jutro i sam zabiorę.

- To do widzenia, panie kapitanie. Chyba nie jestem już potrzebny?

- Do widzenia. Ale weźcie się zaraz do tych ustaleń. Będę jutro przed południem.

- Melduję, kapitanie, że w tym fiacie nie znalazłem ani jednego odcisku palca. Wygląda na to, że dokładnie wytarto kierownicę, klamki, szyby i wszystkie inne miejsca. Wóz był otwarty, a kluczy brak.

- Ciekawe. Może klucze będą w domu. Na razie wepchnijcie wóz za ogrodzenie. Niech tu nie stoi.

- Kapitanie - odezwał się milczący dotychczas sierżant Pawlak. - Mam pewną informację, która może pana zainteresuje.

- Mówcie. Każdy szczegół się przyda.

- U Wenera było ostatnio włamanie. Ale jakieś dziwne.

- Co? Kiedy?

- W ostatni piątek. Miałem właśnie dyżur w komendzie, kiedy zadzwonił Werner i powiedział, że chyba ktoś się do niego włamał. Nie był pewien, bo tak na oko to nic nie zginęło. Wiem, że jeździł tam porucznik Kołodziejczyk.

- To bardzo ważne. Zaraz tam zadzwonię... Chciałbym jeszcze zamienić z panią kilka słów, pani Kucharska - zwrócił się do gosposi. - Wejźmy do domu, zwłoki już zabrano. Zrobi nam pani herbaty i chwilę porozmawiamy, dobrze?

Gospodyni weszła od razu do kuchni, Janowicz zaś skierował się do gabinetu Wenera. Porucznik Zalewski siedział przy maszynie i coś pisał.

- Znalazłem to za kotarą pod oknem - podał Janowiczowi pogniecioną kartkę. - Na wszelki wypadek biorę próbkę pisma tej maszyny. Czcionki są

podobne.

- Bardzo dobrze. Widzę, że nie traciliście czasu. - Janowicz wziął do ręki kartkę. Był to standardowy papier do pisania na maszynie. W połowie strony było tylko jedno zdanie napisane wersalikami: CHCĘ, ABY

SMIERC ZASTAŁA MNIE PRZY PRACY.

- Hm. Dziwnie to się kojarzy z tym, co tu zastaliśmy. Ciekawe, kiedy on to napisał. Wygląda jak motto książki. Werner przecież był pisarzem.

Przeczucie?

- Okazałoby się, że przeczucia należą do tej kategorii rzeczy, które liczą się w życiu. To zdanie jednak pochodzi z Owidiusza. Znalazłem książkę obok tapczanu w sypialni. Była otwarta na tej stronie. Życzenie to, obojętne, kto je wystukał, spełniło się, chociaż niezupełnie.

- Jak to?

- Bo umarł nie przy pracy, tylko niosąc tacę z kawą.

- Macie dobry humor, poruczniku. Ale poważnie: Werner istotnie niósł na tacy dwie filiżanki kawy i dwa czyste kieliszki. Wniosek jest prosty, przygotowywał poczęstunek dla swojego mordercy. Wyszedł do kuchni, zaparzył kawę, a kiedy wracał do pokoju, został w progu zamordowany.

Weszła gosposia, postawiła na stole dwie filiżanki herbaty i talerzyk z ciastkami. Stała z boku.

- Proszę, niech pani siada. Chcielibyśmy z panią porozmawiać. Od kiedy zna pani Wenera?

- W listopadzie będzie już trzy lata, proszę pana. Przedtem była u niego moja siostra, ale wyprowadziła się do Warszawy, więc poleciła mnie na swoje miejsce. Przychodziłam tu trzy razy w tygodniu. Sprzątałam, robiłam zakupy. Pieniądze pan zostawiał zawsze na stole. Miałam swoje klucze.

- Czy były tylko dwa komplety?

- Kluczy? Chyba tak. Pamiętam, że w zeszłym roku pan Werner zapodział gdzieś swoje. Kazał wtedy dorobić na wzór tych, które ja miałam. Ale też tylko

jeden komplet.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Wenera?

- W ubiegły czwartek. Miałam przyjść właściwie w piątek, bo tak wynikało z umowy, ale dostałam list od syna, starszego, bo młodszy chodzi jeszcze do szkoły. Wacek pisał, że w niedzielę ma przysięgę, prosił żebym przyjechała. Służy w Szczecinie, to kawał drogi. Przyjechałam więc do Modrzewia w czwartek rano i zastałam jeszcze pana w domu.

Zrobiłam porządki i poprosiłam o zwolnienie na poniedziałek. Dlatego przyszłam dziś. I takie nieszczęście - kobieta zaczęła płakać.

- Proszę się opanować... Czy drzwi były otwarte, kiedy pani weszła?

Która mogła być godzina?

- Miałam klucz od furtki. Drzwi też sama sobie otworzyłam. Kiedy pan był w domu, nigdy nie zamykał drzwi na klucz, tylko normalnie, na zatrzask. Od zewnątrz nie ma klamki, więc nikt bez klucza nie otworzy.

Nie patrzyłam na zegar, ale nie było więcej jak dwadzieścia pięć po dziewiątej. Ja mieszkam w Wolenicy. Autobus przystaje w Modrzewiu o dziewiątej, a droga zajmuje mi właśnie ze dwadzieścia minut.

- Czy orientuje się pani, kto odwiedzał pana Wenera?

- Nic na ten temat nie mogę powiedzieć. Przychodziłam co drugi dzień i zawsze rano, a wtedy nikogo nie widziałam. Ale ludzie tu chyba przychodzili, bo często w kuchni były do zmywania kieliszki. Czasem były i kobiety, bo widziałam szminkę na szklankach. Ale dokładnie, jak i co, nie wiem. Teraz to nie mam co przychodzić. Zostawię panom klucze...

- Tak, proszę. A nie wie pani, czy pan Werner miał jakąś rodzinę?

- Podobno miał brata we Wrocławiu. Dwa razy widziałam list z adresem zwrotnym, na którym było takie samo nazwisko. Pan Werner nigdy nie był żonaty.

- A w ten czwartek, kiedy pani widziała go ostatni raz, nic pani nie zauważyła?

Kucharska zastanawiała się chwilę.

- Ja bardzo bym chciała panom pomóc... ale nie wiem, co mówić. Pan Werner zawsze był bardzo surowy, poważny i skrupulatny. Nawet pieniądze, które mi zwracał za zakupy, bo ja zawsze kupowałam za swoje, wyliczał mi w kopercie co do grosza według paragonów. Tylko na gwiazdkę dostawałam pięćset złotych ekstra. Ale gdzieś tak od lutego, marca, pan Werner jakoś się zmienił. Zaczął bardziej dbać o siebie. Zabierałam mu zawsze bieliznę do prania, płacił osobno.

Zauważyłam, że kupił sobie kilkanaście nowych koszul, takich, jak to teraz noszą młodzi, modnych. No i dwa nowe ubrania. Po prawdzie, to dotychczas nie miał tak za bardzo w co się ubrać, więc może dlatego?

Zaczął być jakiś lepszy. Nawet nieraz zażartował. Raz to nawet zapytał, czemu nie wychodzę za mąż, że jestem jeszcze młoda. Bo ja jestem od pięciu lat wdową, proszę pana. Ale gdzie mi tam do małżeństwa...

Człowiek zapracowany, to i nie myśli o czymś takim.

- Czy pan Werner miał dużo pieniędzy?

- Tego to ja nie wiem. Płacił na czas. Ale raz widziałam u niego książeczkę; przeglądał ją i coś tam mruczał.

- No dobrze, pani Kucharska. Niestety, będzie pani musiała poszukać sobie zajęcia gdzie indziej. Teraz ludzie szukają pomocy do prowadzenia gospodarstwa.

- Tak... prawdę mówiąc, to proponował mi już dziś pan Rowecki. Ten w czarnym kapeluszu. On był kiedyś profesorem w gimnazjum.

Owdowiał w zeszłym roku. Chyba będę teraz chodzić do niego...

- Wobec tego życzymy powodzenia. My tu jeszcze zostaniemy.

Zamkniemy potem dom i opieczętujemy. Może pani być spokojna.

- Do widzenia panom. Mój Boże, co za czasy. Żeby niewinnego człowieka tak ni stąd, ni zowąd...

Kiedy za gosposią zamknęły się drzwi, Janowicz odezwał się: - Niewiele

się dowiedzieliśmy, ale dobre i to. Ze słów Kucharskiej można by wywnioskować, że Werner znalazł sobie jakąś kobietę i dlatego stał się taki elegancki. Trzeba dotrzeć do jego znajomych i ustalić obiekt jego uczuć. Rozejrzyjmy się jeszcze raz po mieszkaniu i wracajmy do Warszawy. Aha, połączcie mnie z komendantem powiatowym. Chcę ściągnąć pewne materiały. Okazuje się, że w piątek było w tym domu włamanie. Werner rzekomo nie stwierdził, by coś zginęło.

- Macie zastępcę komendanta - odezwał się Zalewski po chwili, przykrywając dłonią słuchawkę. - Porucznik Król...

- Halo, mówi kapitan Janowicz z kryminalnego. Dzień dobry, komendancie. Jestem w Modrzewiu w willi Wenera. Tak, tak, to właśnie ta sprawa. Dowiedziałem się, że kilka dni temu było tu włamanie. Był od was Kołodziejczyk. Bądźcie uprzejmi zapakować wszystkie materiały i wysłać na moje nazwisko do Warszawy, dobrze? Prowadzę tę sprawę, a wy podobno znaleźliście jakieś ślady... Dobrze, dziękuję wam bardzo. Do widzenia.

- Jutro będziemy mieli prawie wszystkie dane. Oglądaliście tę gablotę?

To cała wystawa.

- Tak. Nie sądzę jednak, żeby coś z niej zginęło. Wszystkie przedmioty leżą na swoich miejscach. Przez lupę widać, że pokryte są cienką warstwą kurzu. Dawno nie ruszane. Niektóre z nich wyglądają na cenne. Choćby te oryginalne broszki.

- Z tego wynika, że do rabunku nie doszło. Najgorsze, że nikt nam tego nie powie. W mieszkaniu panuje jednak idealny porządek. Gospośia nie miała tu chyba zbyt wiele pracy.

- Przejrzałem szafy i szuflady. Wygląda na to, że nikt nie próbował tam szperać.

- Przeszukaliście kieszenie?

- Tu jest wszystko, co znalazłem: portfel, w środku trzy tysiące sto pięćdziesiąt złotych, trochę bilonu w kieszeni marynarki, zegarek leżał w

sypialni. W szufladzie biurka znalazłem książeczkę oszczędnościową.

Uważam, że dokładna analiza wpłat i wypłat powie nam również trochę na temat trybu życia Wenera. Pierwsza wpłata w tej książeczce została dokonana piętnastego stycznia ubiegłego roku. Chyba ją zabierzemy? Już widzę, że czeka nas ciekawa robota. Chciałem panu podziękować, kapitanie, że mnie pan wziął do pomocy.

- Nie ma za co. Spostrzegłem, że bystry z was chłopak. Najlepiej uczyć się na trudnych sprawach. Mam nadzieję, że i to załatwimy. Jakiegoś notesu czy spisu telefonów nie zauważyliście gdzieś?

- Rzeczywiście, to dziwne, ale nic takiego nie znalazłem. Albo facet miał fenomenalną pamięć, albo korzystał wyłącznie z książki telefonicznej.

- Albo właśnie to skradziono przy okazji. Taki pisarz jak Werner musiał mieć sporo kontaktów. Z ludźmi, instytucjami...

- W tej aktówce znalazłem scenariusz filmu jego autorstwa. Na okładce jest numer telefonu.

- Doskonale. Ustalcie więc, do kogo należy. Może to nam coś da. Będzie to prawdopodobnie numer związany z tym scenariuszem, ale zaprowadzi nas w końcu do jakiegoś człowieka, który być może powie nam coś o Wenerze. No cóż, kończymy.

- Zadzwonimy po samochód?

- Nie warto. Do stacji mamy kilkaset metrów. Za godzinę powinniśmy być w Warszawie. Prawdę mówiąc, jestem już solidnie głodny. Może wpadniemy coś zjeść? Albo wiecie co? Macie dziś wolny wieczór?

- Nic nie planowałem...

- To chodźmy do mnie. Przygotujemy jedzenie, a przy okazji pogadamy.

Te maszynopisy zabierzemy i oddamy do ekspertyzy. Książeczkę oszczędnościową i pieniądze także. Znosi się na to, że sporo czasu spędzimy razem. Tylko nie planujcie spotkań z dziewczynami, byłyby zawiedzione.

Wyszli przed dom. Janowicz zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w

patentowym zamku.

- Jeszcze tylko wprowadzę wóz do garażu, a wy w tym czasie przyklejcie na drzwi te kartki z pieczęciami.

Wysiedli na dworcu śródmiejskim. Stąd do Janowicza było już blisko.

- Ten kawałek przejdziemy pieszo, co? Zawsze mi się mylą wyjścia w tunelu pod rondem.

Roześmieli się.

Janowicz mieszkał na trzecim piętrze, w niewielkiej kawalerce. W przedpokoju znajdowała się dość duża wnęka, mieszcząca z jednej strony szafę na ubranie, z drugiej szafkę, na której stała dwupalnikowa kuchenka gazowa. Drzwi na wprost wejścia prowadziły do pokoju. Niewiele można było pomieścić na piętnastu metrach kwadratowych: kanapa-tapczan, naprzeciw biblioteczka, na której stał telewizor, a pod drugą ścianą niski stolik i dwa fotele.

- Proszę, rozbierzcie się i przejdźcie do pokoju. Ten korytarzyk jest tak mały, że dwie osoby naraz to już tłok. Ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia.

- Może mógłbym w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Po pierwsze nie ma jak, po drugie przygotuję tylko coś na zimno. Potem kawa czy herbata?

- Wolałbym herbatę.

- Na dole w biblioteczce stoi butelka i kieliszki. Sięgnijcie z łaski swojej.

Po kilku minutach Janowicz wkroczył do pokoju, niosąc półmisek z wędlinami i serem, talerz z sałatką z pomidorów, masło i chleb.

- Proszę, herbata zaraz będzie. Tymczasem napijemy się po jednym. Bez wyboru, bo mam tylko ekstra żytnią. Wasze zdrowie. Poza tym chciałbym wam coś zaproponować: jak już powiedziałem, będziemy się stykać na co dzień, więc przejdźmy lepiej na ty. Mam na imię Michał.

- A ja Andrzej. Cieszę się... A właściwie czasem myślałem o tym, żeby móc z pa... przepraszam, z tobą współpracować. Koledzy będą mi zazdrościć.

- Czego?

- Że pracuję w poważnej sprawie, i to z takim oficerem. Mówią, że nie ma takiej zagadki, której byś nie rozwiązał.

- Chyba już zaczynam się starzeć, skoro krążą o mnie legendy i jestem stawiany za wzór. Lubię, co prawda, dokładną pracę, ale z sukcesami różnie bywa. Zresztą sam zobaczysz. Niektóre sprawy ciągną się latami, inne trzeba odłożyć do archiwum, gdzie czekają na lepsze czasy. Nie zmaczy to, że się o nich zapomina i że sprawcy nie zostają w końcu wykryci. Przypomnę ci starą prawdę, że oiiie ma praktycznie zbrodni doskonałej. Przestępca zawsze popełni jakiś błąd. A od tego, jak prędko ten błąd odkryjemy, zależy zakończenie sprawy. Czasem przestępca z różnych względów nie jest w stanie uniknąć popełnienia błędu. Nie zapominajmy też, że obecnie dysponujemy coraz lepszymi urządzeniami technicznymi i całym aparatem naukowym. Zresztą wiesz o tym, uczą nas tego w szkole.

- Czy masz już jakąś koncepcję tego zabójstwa?

- Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele. Trzeba się zastanowić. Jeszcze prawie nic nie wiemy, nie znamy sylwetka Wenera, jego przyzwyczajęń, jego krewnych, znajomych, bo wykluczyć chyba należy udział zupełnie obcej osoby, czyli irracjonalny, w tym przypadku, zbieg okoliczności. Im więcej zgromadzimy danych, tym łatwiej będzie nimi manipulować. W tej chwili na podstawie informacji, którymi dysponujemy, można sobie na przykład założyć taki przebieg wydarzeń: Jest wcześnie rano. Werner już wstał, jest prawdopodobnie po śniadaniu, ale jeszcze się nie ubrał i, jak sam zauważyłeś, był nie ogolony. Może nie zamierzał wychodzić przed południem. Słyszy dzwonek, wygląda oknem i widzi kogoś, kogo zna.

Może jest trochę zdziwiony tak wczesną wizytą, a może umówił się z tym kimś poprzedniego dnia. Nie była to z pewnością kobieta, bo nawet gdyby wizyta nie była zapowiedziana, ogoliłby się szybko i ubrał. W każdym razie powód odwiedzin musiał być dość ważny, bo w mniemaniu Wenera zanosilo się na dłuższą rozmowę. Udał się więc do kuchni i przygotował kawę. Zamierzał

też poczęstować swojego gościa jakimś alkoholem. Z tego również wynika, że nie mogło być mowy o żadnej kłótni. Nie było po prostu na to czasu. Wchodząc z tacą do pokoju Werner otrzymał znienacka uderzenie w głowę. Sprawca musiał wtedy odwrócić go na wznak i wbić mu coś w serce. Sekcja wykaże chyba, w przybliżeniu oczywiście, co to był za przedmiot. Po dokonaniu tego gość prawie natychmiast się ulotnił. Zdążył jeszcze pozacierać ślady. Gospościa była na miejscu prawdopodobnie około pół do dziesiątej.

- Pozostałoby jeszcze pytanie, dlaczego wóz nie był zamknięty. Tak rano i w takim stroju Werner raczej nie mógł z niego korzystać, a przecież nie zostawił go na noc na ulicy bez żadnego zabezpieczenia.

- Tak. Istotnie. W tym jest coś dziwnego. Coś, czego w tej chwili nie będziemy w Etanie wyjaśnić. I jeszcze jedna rzecz, być może najważniejsza. W takich przypadkach mówimy zwykle o motywie. Tu jeszcze go nie widać. W mieszkaniu panował porządek, nie zginęły pieniądze ani dokumenty osobiste. Przynajmniej o tyle, o ile wiemy na podstawie tego, co zostało. No ale domysły nie wystarczą. Poczekamy na wyniki sekcji i ekspertyzę daktyloskopijną.

- Jutro będzie trzeba skontaktować się z Wrocławiem, tam mieszka brat Wenera, i odszukać właściciela numeru telefonu, umieszczonego na teczce ze scenariuszem.

- To drugie możesz ustalić w tej chwili. Zadzwoń do biura numerów i będziemy wiedzieli, kto to jest.

- Masz rację. Jeśli numer nie jest zarezerwowany...

- Jeśli będzie, to postaramy się o pismo prokuratora i poczta ujawni abonenta.

Zalewski wykręcił numer. Chwilę słuchał, po czym odłożył słuchawkę.

- Mam nazwisko. To niejaki Ryszard Jaworski. Mieszka w Alei Przyjaciół.

- Dobrze. Jutro rano zadzwonię do niego i porozmawiam. Ty skontaktujesz się z Wrocławiem i poprosisz o dane brata Wenera. Nie znamy

wprawdzie jego imienia, ale może nie będzie tam zbyt wielu ludzi o tym nazwisku. Poprosisz o przekazanie dalekopisem wyników ustaleń.

Trzeba będzie tam później pojechać.

- Tak jest. Mam nadzieję, że braciszek dorzuci nam parę informacji.

- Właśnie. A teraz pokaż tę książeczkę oszczędnościową. Ciekaw jestem, jak przedstawiają się jego finanse.

- Jak już wspomniałem, pierwszy zapis w książeczce pochodzi z piętnastego stycznia siedemdziesiątego pierwszego roku. Werner widocznie nie korzystał z konta; brał gotówkę i wpłacał sam na książeczkę. Po wpłaceniu piętnastu tysięcy stan jego oszczędności wynosił pięćdziesiąt sześć tysięcy siedemset złotych. Potem pobierał co miesiąc sześć tysięcy. Prawdopodobnie jakieś dwie trzecie przeznaczał na utrzymanie, a około dwóch tysięcy wydawał na gospozię. Pisał chyba w tym czasie dużo, bo prawie nie ma miesiąca, żeby nie zainkasował jakiejś większej sumy. Ale spójrz: dwudziestego stycznia tego roku pobrał dwanaście tysięcy, a w ubiegłym roku normalnie. Od tego momentu... zaraz, zaraz, jeszcze trzy razy nadprogram: trzy, pięć i cztery tysiące.

Część pieniędzy przeznaczył na ubranie, to wynika ze słów gospozi. A jeżeli twój wniosek jest słuszny, gdyby chodziło o kobietę, to te pozostałe pieniądze wydał na nią albo na wspólne rozrywki. Musiał się chłop nieźle zaangażować. Ale z taką forszą to nie sztuka. Można sobie pozwolić.

- Nie martw się, kiedy będziemy mieli tyle lat.co Werner, też dojdziemy do większych pieniędzy...

- Chyba gdy przejdziemy na emeryturę i spisujemy swoje przygody - zażartował Zalewski.

- Taki z ciebie literat? - Janowicz zaśmiał się głośno. - Myślę, że skończymy już te rozważania. Jutro musimy wziąć się ostro do roboty.

Daleko 'mieszkasz?

- Na Pradze.

- To do jutra. Zobaczymy się w komendzie.

VIII

«

Gdy przed południem Janowicz zjawił się w pracy, powitał go zniecierpliwiony Zalewski:

- Od godziny czeka na ciebie Kołodziejczyk. To jest ten oficer z powiatówki, który był u Wenera bezpośrednio po włamaniu. Przywiózł ze sobą akta.

- To miło z jego strony, że pofatygował się osobiście. A ja jestem już po rozmowie z Jaworskim.

- Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

- Owszem, ale później ci o tym opowiem. Teraz poproś Kołodziejczyka.

- Przepraszam was, poruczniku, że musieliście na mnie czekać, ale nie wiedziałem, że sami przyjedziecie.

- Nic nie szkodzi, załatwiłem przy okazji dwie inne sprawy. A przyjechałem sam, ponieważ w tej sytuacji każdy szczegół związany z osobą Wenera może wam się przydać. Dziwne to było włamanie - westchnął głośno. - Oczywiście wszcząłem dochodzenie, ale zrobiłem to tylko z obowiązku, bez większych nadziei na wykrycie sprawcy. Z mieszkania nic nie zginęło i w zasadzie poza stłuczoną w łazience szybą nie było żadnych szkód.

- Czy znaleźliście jakieś ślady?

- Z tych, które ewentualnie mogłyby się wam przydać, to chyba tylko odcisk rękawiczki na biurku. Sądziłem początkowo, że to sam Werner go zostawił, ale on zaprzeczył kategorycznie. Widocznie włamywacz przypadkowo oparł się ręką o blat biurka. Rękawiczka jest skórzana i nienowa. Gdyby coś takiego znaleźć w czasie przeszukania, to byłoby już coś. m - A u kogo byście proponowali takie przeszukanie?

- Nie, ja tylko tak, teoretycznie... No i znaleźliśmy w łazience kamień i kilkanaście odłamków szkła z rozbitej szyby, ale niestety już bez żadnych

śladów.

- Jak sądzicie, poruczniku, może ktoś przypadkowo wybił mu kamieniem szybę w łazience? Dzieci sąsiadów, czy coś takiego?

- Też tak początkowo myślałem, ale przydała się tu przesadna pedanteria tego literata. Natych miast poznał, że ktoś grzebał w jego biurku. Ale stamtąd również nic nie zginęło...

- Czy znaliście go bliżej?

- Słyszałem o nim, oczywiście, ale rozmawiałem z nim pierwszy raz podczas tych oględzin. Niby mieszkał w naszym powiecie, ale ponieważ to tak blisko Warszawy, pewnie wszystkie sprawy załatwiał w stolicy.

Gdybym mógł przewidzieć, że w kilka dni po moich odwiedzinach coś takiego się wydarzy...

- I tak byście nic nie zrobili. Ale z rękawiczką to wam świetnie wyszło.

Wielu kolegów przegapiłoby ten szczegół, tym bardziej że w pokoju nie było widocznych śladów włamania. I jeszcze jedno: ślad rękawiczki i odłamki szkła przesłaliście oczywiście do nas?

- Tak. Są w laboratorium na piątym piętrze.

- Jakieś nietypowe to włamanie - odezwał się Zalewski, kiedy za porucznikiem zamknęły się drzwi.

- Mówisz to z doświadczenia?

- Nie kpij sobie ze mnie. Przecież doskonale wiesz, że dopiero wchodzę w to wszystko.

- No, już dobrze. Dzwoniłeś do Wrocławia?

- Tak. Z samego rana. Jeśli dobrze pójdzie, pojutrze powinni dać odpowiedź. Ale powiedz, co z tym Jaworskim?

- Z pewnością orientujesz się, kto to jest?

- Widziałem dwa jego filmy. Nazywają go polskim Cayatte, specjalistą od „czarnych serii”. Nic dziwnego, przeszedł dobrą szkołę w ddkumencie.

- Oho, widzę, że będzie z ciebie pożytek. W środowis’ku Wenera

spotkamy wielu filmowców. Ale do rzeczy. Otóż pan Ryszard Jaworski znał dość dobrze denata; ostatnio kontaktowali się często, bo Werner przygotowywał dla niego scenariusz. Ten zresztą, który mamy u siebie. Wyobraź sobie, że ostatnio widzieli się w sobotę...

- Dwudziestego szóstego?

- Tak. Na przyjęciu u faceta, który nazywa się Adam Hornet. Radzę zapamiętać to nazwisko. To taki operator kroniki, który kilka dni temu wrócił do kraju z rocznej podróży po Ameryce Południowej. Było u niego jeszcze kilka osób, ale Jaworski cnie wszystkich znał. Wymienił dziewczynę Horneta, Klarę, stażystkę z jednego z warszawskich szpitali.

To podobno bardzo atrakcyjna babka. Dalej: Henryk Czernik lub podobnie z „Miastoprojektu”, Ewa Gunter i Marcin Dobosz z tej samej wytwórni co Hornet, no i wreszcie jeden z dyrektorów „Telefilmu”, Starski. Podobno Hornet irobił dla niego w Ameryce jakieś filmy. Jaworski sugeruje, że nie jest to czysty interes, ale mniejsza z tym. Jest coś ważniejszego. Otóż Hornet, kiedy sobie trochę wypił, szukał wyraźnie zaczepki z Wernerem.

Robił jakieś aluzje, że niby on i Klara w czasie nieobecności Horneta w kraju coś tam ze sobą kombinowali. Wreszcie wybuchła awantura, Werner obraził się i wyszedł, a w tej sytuacji reszta gości także się rozeszła. Z rozmowy wywnioskowałem, że Jaworski, mimo długoletniej znajomości z Wernerem, nie darzył go specjalną sympatią. Hornet, według niego, to także nieciekawa postać, apodyktyczny, przywiązany do swojej własności, podobno tak też traktujący kobiety. Stąd jego chorobliwa zazdrość o dziewczynę. Jaworski zna ją tylko przelotnie.

- To tłumaczyłoby wydatki Wenera i jego szczególną dbałość o „zewnątrzną powłokę”.

- Być może. W każdym razie wiemy już coś o kontaktach i znajomościach naszego literata.

- A co z tym scenariuszem?

- Pytałem Jaworskiego, jakie widzi rozwiązanie, ale powiedział, że teraz to go przestało interesować. Być może ustalimy rodzinę Wenera, a wtedy scenariusz wejdzie do masy spadkowej. Zdecydują o tym spadkobiercy.

- Jaworski nic nie wie o jego rodzinie?

- Nie. W każdym razie powiedział, że w Warszawie Werner nie miał nikogo. W towarzystwie nie był zbyt lubiany. Zapraszano go tu i ówdzie, ale przede wszystkim ze względu na jego nazwisko i pozycję, której po cichu mu zazdrozczono. Podobno ostatnio zaszły w nim jakieś zmiany, które Jaworski ocenia pozytywnie...

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z pozostałymi uczestnikami tego bankietu; gospodarza zostawiłbym na sam koniec.

- Zgoda, ale poczekajmy z tym do jutra. Teraz pójdziemy coś zjeść, jeśli ten pomysł ci odpowiada.

- Nawet bardzo.

- No to bierz płaszcz, a ja zadzwonię do sekretarki, że wychodzimy.

*

Milicyjna warszawa zatrzymała się na Barbary.

- Możecie wracać - Janowicz zwrócił się do kierowcy. - Macie za pół godziny wyjazd z naczelnikiem. My sobie damy jakoś radę. Prowadź - spojrzał na Zalewskiego. - To daleko stąd?

- Zaledwie parę kroków. Druga uliczka na prawo. „Miastoprojekt” jest zaraz za rogiem.

Weszli do hallu. W rogu, za biurkiem z napisem „Informacja” siedziała starsza kobieta i mieszała herbatę.

- Dzień ddbry pani - powiedział podchodząc Zalewski. - Chcielibyśmy zobaczyć się z panem Henrykiem Czernikiem. Jak do niego trafić?

- Chyba z Czernikiem? A panowie skąd?

- Jesteśmy z OZTW w Lublinie... - Janowicz wypowiedział szybko pierwsze litery, jakie mu przyszły do głowy.

- Aha - okazało się, że wyjaśnienie było wystarczająco dokładne. - Pan inżynier jest na dole, w powielarni rysunków. Schody na końcu korytarza.

- Nie chcemy przeszkadzać, może poczekamy...

- To ja pójde i go poproszę. Zaraz wrócę.

Po chwili ukazała się w towarzystwie wysokiego mężczyzny, ubranego w zamszową kurtkę i czerwoną koszulę polo. Wyszli im naprzeciw.

- Słucham panów. Jestem Czerniak. Panowie z Lublina?

- Tak... - Janowicz obejrzał się za informator-ką, ale ta poczłapała już na swoje miejsce za biurkiem. - A właściwie niezupełnie. Jesteśmy z milicji - otworzył dłoń i pokazał żeton. - Nie chcieliśmy wywoływać sensacji.

Na dźwięk słowa „milicja” przez twarz Czerniaka przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Włożył je wreszcie do kieszeni kurtki.

- Czym mogę panom służyć?

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać, panie inżynierze. Ale nie tu. Czy dysponuje pan wolnym pokojem?

- Nie... siedzę z dwoma kolegami. Może wyjdziemy z gmachu? Trudno by mi było wytłumaczyć obecność panów, bo jak sądzę chodzi o coś raczej dyskretnego, skoro panowie nie chcieli się ujawnić przed tą kobietą?

- Zgoda. Więc co pan proponuje?

- W sąsiedniej uliczce jest mała restauracyjka. O tej porze nikogo tam nie ma. Nazywamy ją „Pod Dzwoneczkiem”. Łatwo panowie trafią. Na desce w oknie wymalowany jest szyld. Będę tam za pięć minut.

Bez trudności znaleźli restaurację poleconą im przez inżyniera Czerniaka.

- Rzeczywiście „dzwoneczek” - roześmiał się Zalewski. - Z tego właściciela musi być niezły humorysta.

- Czym mogę panom służyć? - gospodarz zjawił się, gdy tylko zajęli miejsca przy stoliku. W lokalu poza nimi nie było nikogo.

- Dla mnie herbata i dwa pączki - zadysponował Janowicz. - Będziesz coś

jadł? - zwrócił się do towarzysza.

- Napiję się tylko. Może być kawa.

- Herbata, kawa i dwa pączki - powtórzył pan Alojzy. - To będzie wszystko?

- Tak.

W drzwiach ukazał się inżynier Czerniak. Podszedł do stolika i siadając rzucił niedbale:

- Dla mnie też kawa.

- Pan inżynier dziś tak wcześnie? Co to się stało?

- Muszę porozmawiać z panami.

- A, to co innego. Rozumiem i nie przeszkadzam. Smacznego panom.

- Widzę, że jest pan stałym bywalcem - zauważył Janowicz.

- Tak... Wpadam tu codziennie w porze śniadaniowej. To bardzo wygodny lokalik. Dają dobrze jeść, a i wypić można dyskretnie... Ale jaką to sprawę mają panowie do mnie? Umieram z ciekawości.

- Tak się składa, że właśnie będzie o umieraniu. Zna Pan Piotra Wenera?

- Oczywiście, ale nie rozumiem... O co chodzi?

- Nic pan jeszcze nie wie? Werner nie żyje.

- Ja... ja... jestem zaskoczony. Jak to nie żyje?

- Mamy wszelkie powody sądzić, że został zamordowany. Prowadzimy śledztwo w tej sprawie. Dlatego jesteśmy u pana.

- Ależ panowie! Ja nic nie wiem! Chyba panowie nie podejrzewają, że ja mógłbym...

- Proszę nam powiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan Wenera?

- Ostatni raz... Dokładnie w ubiegłą sobotę. Byliśmy u znajomego. U naszego wspólnego znajomego. Ja powiedziałem, że znam Wenera. Nie wycofuję się z tego, ale muszę dodać, że nie była to bliższa znajomość.

- Rozumiem - Janowicz pokiwał głową. - Wspomniał pan, że ostatni raz widzieliście się na przyjęciu w ubiegłą sobotę. U kogo było to przyjęcie?

- U Adama Horneta. Z okazji jego powrotu z zagranicy. Był w Ameryce Południowej, kręcił filmy dla Polskiej Kroniki Filmowej i zdaje mi się dla „Telefilmu”. Przyjechał chyba w czwartek, a na sobotę zaprosił parę osób do siebie do domu.

- Skąd Hornet znał Wenera?

- Gdzie i kiedy się poznali, tego dokładnie nie wiem. Ale mieszkają niedaleko siebie, prawie po sąsiedzku, w Modrzewiu. To chyba trwa już lata, bo zdaje mi się, że mieszkali tam przedtem rodzice Adama.

- No tak. A teraz proszę nam powiedzieć, jaki pana zdaniem, był stosunek Horneta do Wenera i na odwrót?

- Chyba się lubili... Trudno powiedzieć. Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Ostatnio długo się nie widzieli. Hornet był prawie cały rok za granicą...

- A podczas samego przyjęcia niczego pan nie zauważył?

- Panowie mają na myśli tę kłótnię? - Czerniak nagle urwał, jak gdyby spostrzegł, że powiedział zbyt wiele. - No cóż, skoro zacząłem, to dokończę! Więcej, powiem panom zupełnie szczerze, że ta kłótnia wynikała trochę z mojej winy. Chociaż i tak to by kiedyś wyszło...

- Co mianowicie?

- No... myślałem, że panowie wiedzą... Ale może zacznę od początku.

Otóż w piątek wpadłem tu, jak zwykle, na śniadanie i jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem Adama. Ucieszyłem się z tego spotkania i naturalnie usiadłem z nim przy stoliku. Zaczęliśmy rozmawiać, tak ogólnie. Hornet powiedział mi, że właśnie wrócił do Polski i że z tej okazji chciałby mnie zaprosić w sobotę na wódkę. Powiedział, że będzie jeszcze kilka osób. I tak jakoś zgadaliśmy się na temat Klary. To jego... no, można powiedzieć, jego narzeczona. Zapytał mnie, czy wiem, jak tu sobie radziła. Musiało mi się wtedy wyrwać jakieś słowo, już nie pamiętam co, bo Adam nagle zaczął mnie dokładnie wypytywać.

- O co konkretnie chodziło?

- Widzi pan, podczas nieobecności Adama Klara widywała się często z Wernerem. Przyciśnięty do muru musiałem mu o tym ogólnie powiedzieć...

- Ach tak? Nam jednak może pan powiedzieć szczegółowo.

- Panowie... Ja nie wiem, czy mogę... Gdyby to doszło do Adama.

- Niech pan będzie spokojny. Nie pytamy po to, by komukolwiek powtarzać. Powiedziałem panu, że prowadzimy śledztwo. Zależy nam na każdej informacji, bo czasem drobny szczegół może mieć kapitalne znaczenie.

- Tak, oczywiście. No więc, krótko mówiąc, Werner chyba zakochał się w tej dziewczynie. Stracił dla niej po prostu głowę. Widywali się chyba codziennie, bo ja sam nieraz spotykałem ich razem.

- A Klara?

- Chce pan zapytać, czy i ona zaangażowała się uczuciowo? Tak na moje wyczucie Klara jest dziewczyną pozującą trochę na intelektualistkę, więc Werner musiał jej imponować. Tak samo zresztą Adam. Poza tym myślę, że najbardziej zależało jej nie tyle na partnerach, co na ich pieniądzech.

Pod tym względem Klara była stanowcza. I proszę nie myśleć, że przemawia przeze mnie zwykła zazdrość, nic z tych rzeczy. Mam od dawna narzeczoną i wkrótce się pobierzemy. A Klara za pieniądze zrobiłaby wszystko...

- Z pana słów wynika, że Adam nie byłby zadowolony, gdyby o tym wszystkim wiedział.

- To mało powiedziane. Adam był strasznie zazdrosny o Klarę. Może nie tyle o osobę, co o... powiedzmy przedmiot. Bo on traktował ją jak swoją własność.

- Ale wracając do tego przyjęcia...

- Adam dowiedziawszy się ode mnie, że Klarę widywano z Wernerem, wściekł się. Powiedział mi przy tym, że zaprosił już Wenera, więc teraz nie może się wycofać. Ja z kolei usiłowałem zbagatelizować sprawę, ale odniosło to chyba niewielki skutek, bo na przyjęciu Hornet usiłował obrazić Wenera i

wreszcie mu się to udało. Werner wyszedł oburzony i potem przyjęcie się jakoś rozleciało... Adam jest bardzo impulsywny. Ale widać było, że nie żałował swoich słów. Próbował zachować się jak gdyby nigdy nic. Goście jednak byli zaskoczeni. Jednym słowem wytworzyła się nieprzyjemna sytuacja. Nie myślą chyba panowie, żeby Adam mógł...

- Na razie nic nie myślimy - przerwał Janowicz. - A kto, pana zdaniem, mógłby mieć na pieńku z Wernerem?

- Nie wiem. Nie znam nawet jego znajomych. Werner był wprawdzie bardzo spokojnym człowiekiem, ale...

- Ale co?

- Nie był zbyt lubiany. To dość ponury typ. Stary kawaler z typowymi przywarami tego stanu. Zgorzkniały, zgryźliwy, zamknięty w sobie.

- Miał rodzinę?

- O ile wiem, to nie. Zresztą rozmawiałem z nim tylko kilka razy.

- Może jeszcze jedno, panie inżynierze: co robił pan dwa dni temu?

- O jakiej porze dnia? Przed południem pracowałem w biurze.

- O której godzinie przyszedł pan do pracy?

- Zaczynamy o ósmej trzydzieści, ale tego dnia spóźniłem się o jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

- Dlaczego?

- Spotkałem się z dwoma znajomymi.

- Ich nazwiska?

- Czy panowie mnie podejrzewają? Ależ...

- Po prostu musimy wiedzieć, co robili w tym czasie znajomi Wenera.

To normalna procedura.

- Bo widzi pan, otrzymałem pracę zleconą. Nie mogłem sam zrobić niektórych rzeczy, więc poprosiłem kolegów o wykonanie dla mnie rysunków. Właśnie wtedy odebrałem je od nich. Jeden nazywa się Zawadzki, drugi Michalak. Obaj pracują na Politechnice.

- Dobrze. To byłoby wszystko, panie Czerniak. Chyba, że ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

- Nie. Powiedziałem wszystko, co wiem o interesujących pana osobach.

IX

Po wejściu do komendy Zalewskiego zaczął pomocnik oficera dyżurnego i wręczył mu telefonogram z Wrocławia. Zalewski przyjrzał się oderwanej kartce z dalekopisu: karol werner s. tadeusza i małgorzaty koryc-kiej ur. 21 (dimidziestego pierwszego) marca 1926 roku w warszawie zamieszkały we Wrocławiu przy ulicy mickiewicza 29/16 stop brat piotra werner członek zip zamieszkały w modrzewiu koło warszawy stop karol werner notowany za nielegalny handel dewizami stop bliższe szczegóły na miejscu stop wezwanie doręczono na jutro godzina dziewięta koniec - +H-Wszedł do gabinetu Jancwicza.

- Mamy już brata Wenera - rzekł podając kapitanowi kartkę. - Widać z tego, że nie jest to kryształowy, charakter. Pewnie dlatego Werner nie afiszował się nim zbyt.

- Idź do naczelnika po delegację i załatw sobie bilet do Wrocławia na pociąg, a jak wrócisz, to jeszcze pogadamy - przerwał Janowicz.

Podając konduktorowi bilet na miejsce sypialne Zalewski pomyślał, że właściwie to jego pierwsza samodzielna podróż służbowa. Miał w związku z tym lekką tremę; zależało mu na tym, aby nie zbłąźnić się przed Janowiczem. Wierzył, że załatwi wszystko pomyślnie. Podbudowało go też trochę zaufanie przełożonych, którzy nie bali się powierzyć mu tej niebagatelnej bądź co bądź sprawy. Był tak zaaferowany układaniem w myśli planu rozmowy z Karolem Wernerem, że bez namysłu zgodził się na zamianę miejsc z grubym jegomościem, który długo i namiętne tłumaczył mu o swoich astmatycznych dolegliwościach. Facet chrapał prawie przez całą noc, toteż Zalewski zasnął dopiero nad ranem i konduktor z trudem dobudził go oznajmiając koniec podróży. Szybko ogolił się i wychyliwszy się przez okno usłyszał zapowiedź:

„Pociąg osobowy z Warszawy Głównej do Wrocławia z połączeniem do Jeleniej Góry i Kudowy wjeżdża na tor trzeci przy peronie czwartym”. Z niechęcią spojrział na przyczynę nieprzespanej nocy i bez słowa wyszedł z przedziału.

Było jeszcze dość wcześnie, postanowił zatem pójść do komendy pieszo, zjeść po drodze jakieś śniadanie i obejrzeć centrum Wrocławia. Ostatni raz był w tym mieście osiem lat temu i chciał nieco odświeżyć swoje wspomnienia. Jeśli zostanie do jutra, to może uda mi się pójść na Grotowskiego - pomyślał spoglądając na afisz. Nie był wprawdzie pewien, czy taka forma przedstawienia będzie mu odpowiadała, będąc jednak miłośnikiem dobrego teatru, chciał zobaczyć koniecznie i „teatr laboratorium”.

Pomyślał, że poza rozmową z Wernerem będzie musiał zapewne przejrzeć jakieś akta, co zajmie mu sporo czasu. Gdy zbliżał się do ogromnego gmachu komendy, minęła właśnie ósma trzydzieści. W sekretariacie wydziału czekał już na niego starszy o dobre kilka lat porucznik.

- Czekałem na was. Witam. Za pół godziny powinien być nasz klient.

Prawdę mówiąc nie zmartwiłbym się, gdybyście go sobie zabrali do Warszawy. Mamy z nim ciągle jakieś kłopoty. Ten człowiek wydaje znacznie więcej, niż wynoszą jego dochody, ale bardzo trudno mu cokolwiek udowodnić. Wiemy, że w dalszym ciągu handluje, jak może, dewizami, ale na razie nie możemy mu się dostać do skóry.

- Nie wiecie przypadkiem, jak przedstawia się sprawa z jego rodziną?

- O ile wiem, to ma tylko brata, mieszkającego w Warszawie. Wydaje się, że stosunki między nimi nie były dotychczas najlepsze.

- To rozumiałe, ale teraz chyba się poprawią - uśmiechnął się Zalewski.

- Znaczy, wy macie być mediatorem? - zainteresował się porucznik.

- Coś w tym rodzaju - Zalewski w dalszym ciągu uśmiechał się tajemniczo. - Gdzie mógłbym z nim porozmawiać?

- Przygotowałem wam swój pokój. Zapukano do drzwi. Wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o szpakowatych włosach, ubrany w elegancki garnitur z

angielskiej flaneli.

- Czego milicja znów chce ode mnie? - mruknął spoglądając spode łba.

- Pan nazywa się Karol Werner, prawda?

- Przecież ma pan mój dowód osobisty na biurku, więc po co to pytanie?

- Nie grzeszy pan uprzejmością.

- Trudno cieszyć się, kiedy człowieka ciągną bez powodu po urzędach.

- Wobec tego przystąpmy od razu do rzeczy. Jestem z Komendy Wojewódzkiej z Warszawy. Przyjechałem, żeby porozmawiać z panem na temat brata. Nie wiem, czy orientuje się pan, że Piotr Werner nie żyje?

- I żeby mi o tym zakomunikować, przyjechał pan specjalnie z Warszawy?

- Nie. Nie tylko po to. Ale widzę, że wiadomość o śmierci brata nie wywarła na panu zbyt wielkiego wrażenia. Chyba że czytał pan już wcześniej nekrologi.

- Nie czytuję żadnych nekrologów. Jedyne, który mógłbym przeczytać, to mój własny, ale miałbym wówczas niejakie trudności z nabyciem gazety.

- Chciałem zawiadomić pana również o terminie pogrzebu, ale w tej sytuacji...

- I słusznie. Nie widzę powodu okazywania miłości komuś, kto był przez przypadek moim bratem. Jediną łączącą nas cechą było wspólne nazwisko, a od rodzonych brata wymaga się na ogół czegoś więcej. Czy można zapalić? - I nie czekając na pozwolenie wsadził papierosa do ust.

Zalewski uświadomił sobie, że rezygnując z oficjalnej formy przesłuchania ma szansę dowiedzieć się czegoś więcej.

- Ponieważ i tak w najbliższym czasie dowiedziałby się pan o tym, chciałem poinformować, że pański brat nie umarł naturalną śmiercią. To było zabójstwo.

- Ach tak?! - Werner wydawał się zaskoczony tą wiadomością. Spojrzał uważnie na porucznika. - To trochę zmienia postać rzeczy. Takiej śmierci nie

życzyłbym nawet jemu.

- To znaczy, o jaką śmierć panu chodzi?

- Jak to, o jaką? Przecież pan sam powiedział o zabójstwie.

- Tak... Oczywiście. Czy poza panem Piotr Werner miał jeszcze jakąś rodzinę?

- Byłem jego jedynym bratem. Rodziców nie mamy już od kilkunastu lat.

W Belgii żyje jakaś ciotka, ale to daleka rodzina. No i na Wybrzeżu mieszkają dwie nasze kuzynki, ale nawet dokładnie nie wiem, w jakiej miejscowości. Dlaczego pan o to pyta?

- Zdaje pan sobie sprawę, że brat pański był człowiekiem majątnym. W tej sytuacji, po załatwieniu wszelkich formalności spadkowych, pan zostanie prawdopodobnie jedynym sukcesorem. Chwilowo jednak nie może pan wejść w posiadanie majątku, przynajmniej do momentu ukończenia przez nas śledztwa.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, w jaki sposób zginął mój brat?

- W tej chwili mogę powiedzieć jedynie, że było to morderstwo, nawet dość perfidne... Ale jeszcze jedno: oczywiście to są pana prywatne sprawy, ale chciałbym wiedzieć, jaki był powód waszej wzajemnej niechęci?

- Czy to znaczy, że i mnie gotów pan zaliczyć do grona podejrzanych? ~

- Nie, ale sam pan rozumie, że wszystkie szczegóły mogą mieć dla nas zasadnicze znaczenie.

- Powiem panu krótko: kilkakrotnie byłem w tragicznej sytuacji. Doszło nawet do tego, że nie miałem co do ust włożyć, a Piotr... Odpowiedział mi, że każdy ma taki los, na jaki zasłużył. Przecież powodziło mu się wtedy bardzo dobrze, a ja oczekiwałem jedynie braterskiej pomocy.

- Co pan wtedy zrobił?

- A co mogłem zrobić? Wsiadłem w pociąg i przyjechałem do Wrocławia. Później los uśmiechnął się i do mnie... A z Piotrem zerwałem stosunki.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Chyba z pół roku temu. Spotkaliśmy się przypadkowo w Warszawie. Ja

byłem w stolicy służbowo. Piotr zaprosił mnie do Modrzewia i nawet u niego nocowałem. Wydawał się zadowolony, że moja sytuacja uległa poprawie. Pogadaliśmy trochę, a następnego dnia wyjechałem.

- Czy utrzymywaliście ze sobą kontakt korespondencyjny?

- Sporadycznie. Z reguły wymienialiśmy kartki z życzeniami. Czasem pisałem list, a Piotr mi wówczas odpowiadał.

- Nie będę pana dłużej męczył. Może mi tylko pan powie, co pan robił w ostatnią środę.

- Pracowałem wówczas, jak każdego dnia...

- Pan pracuje w „Orbisie”?

- Zgadza się.

- Był więc pan wówczas na miejscu, we Wrocławiu...

- Nie powiedziałem, że byłem wtedy we Wrocławiu...

?- Gdzie pan był wobec tego?

- Wyjechałem służbowo razem z trzema cudzoziemcami...

- Ale dokąd?

- Do Warszawy, ale tego samego dnia wróciłem.

- Co to byli za cudzoziemcy?

- Rumuni. Ale nie ma już ich w kraju. Zresztą po przyjeździe do Warszawy zaprowadziłem ich do „Bristolu” i na tym moja rola się skończyła.

- Czy pamięta pan nazwiska tych cudzoziemców?

- Zapisałem to gdzieś w kalendarzyku... O, tu są: jeden nazywał się Corneliu Durni tracę, drugi Ion Poppea, a trzeci Ilia Negru. Wszyscy są architektami z Ploesti.

- Nie widział się pan wówczas z bratem?

- Przecież panu powiedziałem, że ostatni raz widzieliśmy się pół roku temu!

- Tak... Proszę mi jeszcze powiedzieć, za co ma do pana pretensję wrocławską milicja?

- To chyba nie ma nic wspólnego ze śmiercią mego brata?
- Tak, ale mówiłem już, że wszystkie informacje są dla nas istotne.
- Prawdę mówiąc, to sam dobrze nie wiem. Czepiali się, że niby handlują dewizami, ale to do mnie przecież zupełnie niepodobne.
- Mnie nie musi pan czarować. Uprzedzam tylko, że w razie jakiegoś konfliktu z prawem spadek może przejść panu koło nosa. To o której pan wtedy wyjechał z Warszawy?
- Tym pospiesznym z Głównego, o szesnastej z minutami... Czy mogę już sobie pójść? - zapytał, wiercąc się nerwowo na krześle.
- Tak. Proszę bardzo, jest pan wolny. Werner wstał, skłonił się lekko i szybko wyszedł z pokoju.

X

„Chciałbym i mój ślad na drogach ocalić od zapomnienia”. Michał Janowicz stał niedaleko głównej bramy powązkowskiego cmentarza, spoglądając z zadumą na skromny nagrobek Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Odczuwał wyrzuty sumienia, że odwiedza cmentarz zbyt rzadko. Przecież tutaj, kilka kwater dalej, leży jego ojciec. Grób wprawdzie był starannie pielęgnowany przez jedną z pracownic cmentarza, jednak miał uczucie, że on sam nie jest w porządku... I dziś nie przyszedł tu tylko dla ojca. W domu pogrzebowym odbywała się właśnie ceremonia żałobna, na którą przybyli dość liczni znajomi i koledzy Piotra Wenera. Janowicz w tym czasie spacerował wzdłuż Alei Zasłużonych, stanowiącej swego rodzaju muzeum i lekcję historii dla dorastającego pokolenia. Postanowił podejść do orszaku dopiero w chwili składania zwłok do grobu. Nie liczył oczywiście na zdemaskowanie zabójcy w trakcie pogrzebu, jednak chciał zobaczyć twarze ludzi, wśród których żył i działał zmarły. Wierzył, że tego typu obserwacje mogą być niezwykle interesujące. Stojąc wśród rzędów brzoźowych krzyży powstańców warszawskich zauważył, że niektórzy zaczęli już opuszczać budynek, formując

orszak. Trumnę niosło na ramionach dwóch znanych mu z widzenia literatów, oraz jeden przystojny młody człowiek i poznany niedawno Ryszard Jaworski. Przy dźwiękach marsza żałobnego, rozlegającego się z rozmieszczonych wśród alejek głośników, dotarli do przygotowanego dołu. Kilka przemówień, złożenie trumny do grobu, chwila zadumy, wiązanki kwiatów i zaczęto się powoli rozchodzić... Janowicz postął jeszcze chwilę i również skierował się w stronę wyjścia. Widział, że ludzie, odchodząc od grobu, już po kilku krokach zapominali, w jakim tu właściwie przybyli celu...

W pobliżu kiosku „Ruchu”, mieszczącego się przed bramą, podszedł do niego młody mężczyzna, w którym Janowicz rozpoznał człowieka niosącego trumnę.

- Przepraszam bardzo - odezwał się. - Pan kapitan Janowicz?

- Tak. Słucham pana...

- Nazywam się Hornet. Adam Hornet. Sądzę, że znane jest panu moje nazwisko?

- Owszem... Ale nie wiem, o co panu chodzi?

- Sądziłem, że pan zechce poznać osoby, z którymi Piotr żył bliżej; a że byłem sąsiadem Wenera, znałem go dobre kilkanaście lat, uważałem, że lepiej będzie, jeśli podejść do pana, tym bardziej że... - Janowicz milczał. Hornet zdenerwowany brnął dalej - że nasze ostatnie spotkanie zakończyło się nieprzyjemnym incydentem.

- Kto panu mnie wskazał i podał moje nazwisko?

- Ryszard Jaworski, ten reżyser; pan już z nim rozmawiał. Jestem zaniepokojony tym, że nie byłem jeszcze przesłuchiwany... Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

- Tak bardzo panu na tym zależy? Przykro mi, ale pozwoli pan, że ja zadecyduję o terminie rozmowy. Nie jestem bowiem pewien, czy w ogóle zajdzie taka potrzeba.

- Ale to przyjęcie, kilka dni temu, na którym był Piotr, odbyło się właśnie

u mnie, w moim mieszkaniu?- Hornet zaczął podnosić głos.

- Doskonale pana rozumiem. Czy jest pan bezpośrednio zamieszany w to zabójstwo?

- Skądże! Ja tylko tak... Z dobrej woli...

- Niewykluczone, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Ale teraz muszę pana pożegnać. Spieszę się.

- A może pana podwieźć? Jestem tu wozem.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Jadąc autobusem pomyślał, że nie ma już sensu wracać do komendy. Była sobota. Postanowił wysiąść gdzieś po drodze, zjeść obiad a później obejrzeć ciekawie zapowiadający się festyn „Trybuny Ludu”.

Mijając kolejne stoisko „Cepelii” w pobliżu wejścia do Pałacu Młodzieży Janowicz zauważył znajomą twarz. Kolega ze studiów, Marek Korytowski, trzymając za rękę swego pięcioletniego synka, wrzucał do przepelnionej już skrzynki kilka kuponów loterii fantowej.

- Cześć, Michał! Dawno cię nie widziałem. Sam tu jesteś?

- Tak. Przyszedłem się trochę rozerwać. Widzę, że deszcz nikomu nie przeszkadza.

- Wiesz, umówiłem się z Katarzyną koło mostu Śląsko-Dąbrowskiego.

Jest tam podobno jakaś karczma z Pasymia, w której można dostać węgorki. Poszukamy też jakiejś butelki i pojedziemy do nas do domu.

- Z przyjemnością.. Kupię tylko twojemu Piotrusiowi „firmową” czapkę.

Nie widzi wujka zbyt często, więc muszę się jakoś zrehabilitować.

Gdy wsiedli przy Emilii Plater w specjalnie tego dnia kursujący autobus, byli prawie jedynymi pasażerami.

- Popatrz, Marek, nieczęsto trafia się taka okazja. Nie dość, że dojedziemy na samo miejsce, to jeszcze taka wygoda!

Trzeba dopiero święta „Trybuny”, żeby nie jechać w tłoku. Duży to plus dla organizatorów.

Za chwilę znaleźli się przed pawilonem zachwalającym śląskie przysmaki: krupnioki i fran-kfurterki.

Michał z uwagą czytał jadłospisy wywieszane przez poszczególne karczmy i zajazdy.

- Nie lada to frajda, takie dania - stwierdził. - Niedawno zjadłem obiad, ale mimo to chętnie bym coś przekąsił.

Zanim dotarli do rybnych specjałów z Pasymia, zdążyli już spróbować kilku regionalnych smakołyków. Zauważyli wreszcie stojącą w kolejce Katarzynę.

- Patrz, Kasiu, kogo spotkałem - odezwał się Marek. - Będziemy mieli gościa.

- O, pan Michał! Cieszę się bardzo. Nareszcie nas pan odwiedzi.

Właściwie powinniśmy się obrazić... Tak rzadko pan do nas zagląda.

Michał uśmiechnął się z zażenowaniem:

- Miło usłyszeć, że jest się przez kogoś oczekiwanym, ale Marek doskonale wie, jak mało mam czasu.

- Trochę to pana tłumaczy, ale proszę pamiętać, że jest pan zawsze mile widzianym gościem.

Po półgodzinie Janowicz siedział już w wygodnym fotelu i z przyjemnością oglądał przytulny pokój.

- Nie na darmo jesteś historykiem sztuki - odezwał się do przyjaciela. - Widać to w każdym sprzęcie.

?- Nie przesadzaj... Nasze możliwości finansowe są ograniczone, więc nie wygląda to wszystko tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Twoje zdrowie, Michał. Co właściwie teraz porabiasz?

- To co zwykle... Na brak roboty nie mogę narzekać. Zresztą sam wybrałem ten zawód i już zdążyłem się do niego przyzwycząić.

- A co masz aktualnie na warsztacie? Jeżeli nie jest to tajemnicą.

- Nie... Tym bardziej że z prasy dowiesz się niebawem o prowadzonym

przeze mnie śledztwie. Chodzi tu o zabójstwo znanego literata, Piotra Wenera.

- Tego rodzaju sprawy bardzo interesują Katarzynę. Kiedy skończysz śledztwo, będziesz miał wdzięcznego słuchacza.

- Jeśli będę mógł, to naturalnie postaram się zaspokoić jej ciekawość.

- Widzę, że dawno nie piliście winiaku. Nie mogliście poczekać, aż przygotuję wam coś do jedzenia? - zapytała Katarzyna wchodząc z tacą do pokoju.

?- Tak długo siedziałaś w kuchni, że postanowiliśmy zacząć degustację.

- Musiałam przecież zrobić coś konkretnego, bo pan Michał pewnie głoduje. Z kawalerami to różnie bywa. W każdym razie bez kolacji pana nie wypuszczę.

W tym momencie Janowiczowi przypomniała się matka i jej niezmierna troskliwość o regularność posiłków. Pomyślał, że dobrze mieć taką przyjazną parę, do której można wpaść od czasu do czasu. Widocznie Katarzyna wyczuwa, że brak mi niekiedy tego, co nazywa się ciepłem domowego ogniska - pomyślał.

Pewnie zaraz zapyta, kiedy się ożenię, i zaproponuje zapoznanie z którąś ze swoich koleżanek.

Ale gospodyni uznała widocznie, że sytuacja nie wygląda jeszcze tak tragicznie, żeby wymagało to natychmiastowej zmiany stanu cywilnego.

Prawdę mówiąc, chwilami zastanawiał się nad małżeństwem, ale nie były to konkretne rozważania. Był zdania, że przydałaby się jakaś odmiana w życiu, ale na tym właściwie się kończyło. Był jeszcze młody i starał się nie robić z tego problemu.

- Michał, co się tak zamyśliłeś?

- Przepraszam bardzo, ale świetnie się u was wypoczywa.

- Zawsze uważamy pana za domownika - dodała Katarzyna. - Nie chcę się powtarzać, ale powinien pan częściej nas odwiedzać.

- Zgodę. Obiecuję... Wybaczcie, ale na mnie już czas - rzekł podnosząc się z fotela. - Jeszcze raz za wszystko dziękuję i do zobaczenia.

‘ - Niech pan na siebie uważa - uśmiechnęła się Katarzyna.

W nieco pogodniejszym nastroju wrócił do domu. Kładąc się spać, nie myślał już o Wernerze ani o oczekujących go obowiązkach. Poczytał jeszcze przez chwilę ulubionego Szwejka i zgasiwszy nocną lampkę twardo zasnął.

XI

Janowicz stał przy oknie z rękami w kieszeniach, kiedy odezwał się stojący na jego biurku telefon. Nie spiesząc się podszedł i podniósł słuchawkę.

- Kapitan Janowicz...

- Mówi sierżant Olejnik z biura przepustek. Jest pani Klara Nowicka. Ma wezwanie.

- Doskonale. Wystawcie jej przepustkę i wpuście. Właśnie na nią czekam.

- Tak jest. Już wypisuję.

Za kilkanaście minut rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

Do pokoju weszła młoda kobieta, ubrana w sięgającą do pasa wiatrówkę z rudego zamszu i w czarne spodnie. Janowicz zauważył, że oddychała szybko. Ciekawe - pomyślał, czy zmęczyła ją tak wspinaczka po schedach, czy też znajduje się pod wrażeniem niecodziennej sytuacji.

- Przyszłam tu na wezwanie - oznajmiła pewnym siebie głosem. - Doprawdy, dziwią mnie wasze metody. Jak można wzywać tak ni stąd, ni zowąd ludzi. Czego ode mnie chcecie?

- Dzień dobry pani, nazywam się Janowicz - powiedział kapitan wychodząc zza biurka. - Nie zaczynajmy tak ostro. Proszę usiąść.

Proponuję, by pani zechciała uświadomić sobie, że znajduje się w komendzie milicji, gdzie nikt nie ma zamiaru zrobić pani krzywdy. A powodu wezwania powinna się pani domyślać. Papierosa? - podsunął jej paczkę klubowych.

- Dziękuję. Mam swoje. - Wyjęła carmeny i - zapaliła sobie papierosa od

plomienia gazowej zapalniczki. Zamknęła ją z trzaskiem i założyła nogę na nogę. - Słucham pana. Zaznaczam, że mam mało czasu.

- Pozwoli pani, że ja zdecyduję o tym, jak długo będzie trwała nasza rozmowa. Oczywiście będzie ona tym krótsza, im szybciej uzyskam potrzebne mi informacje. Wie pani, że Piotr Werner nie żyje?

Wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, ale co ja mam z tym wspólnego?

- Widzę, że nie przejęła się pani zbytnio. Dziwię się, bo przecież był pani bliskim znajomym...

- Nie tak bardzo. Znałam go, to byłoby najodpowiedniejsze określenie.

- Proszę mi powiedzieć, co było przyczyną kłótni Wenera z Adamem Hornetem?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Być może, że się przemówili. Nie dostrzegłam tego. Zresztą wszyscy byli już lekko podpici, więc przewrażliwieni. Pana informator był nadgorliwy i niezbyt bystry.

- Skoro takie jest pani zdanie, to wyjawię pani jego nazwisko. Może to panią zainteresuje. Otóż o awanturze opowiedział mi Adam Hornet.

Powodem była wiadomość, którą uzyskał niemal natychmiast po powrocie do kraju. Nie jest pani ciekawa, jaka to była wiadomość?

- Słucham. Jestem zdziwiona, że Adam opowiada takie rzeczy milicji. - Mający wyrażać pogardę uśmiech rozpląnął się w wymuszonym grymasie.

- Otóż pani narzeczony dowiedział się, że od pół roku jest pani kochanką Piotra Wenera. Chciałem powiedzieć, była pani.

Klara zbladła nagle, a po chwili zerwała się z krzesła.

- Jak pan śmie! To bezczelne kłamstwo! Widać było jednak, że skończył się już cały zasób energii i tupetu. Janowicz milczał utkwivszy w niej spokojny wzrok.

Klara usiadła, spuściła głowę i nagle wybuchnęła płaczem.

- Pan jest nieludzki... Niech pan powie, że to nieprawda... Adam nie mógł

o tym wiedzieć... To byłby koniec - mówiła urywając.

- A więc nie zaprzecza pani, że łączyły ją z Wernerem bliższe stosunki? A kiedy w dniu przyjęcia zorientowała się pani, że Adam Hornet zaczyna się czegoś domyślać, postanowiła pani zabić Wenera, prawda? Zależało pani na tym, by nie ujawnił dalszych szczegółów, gdyż w ten sposób straciłaby pani obydwu. Poszła więc pani do mieszkania Wenera i zabiła go w chwili, kiedy nie był w stanie się bronić. Zmienacka. Tak było?

Klara chwyciła się za głowę. Rozszerzonymi oczami wpatrywała się w Janowicza. Widać było, że nie może wydobyć z siebie ani słowa.

- Proszę pana... ja przysięgam... na wszystko, na co pan zechce! Niech mi pan uwierzy! Ja tego nie wytrzymam! Nie zabiłam Piotra! Ja naprawdę go kochałam! To Adam był stale zazdrosny. To on groził, że mnie zabije!

- zakryła nagle ręką usta. - Nie chciałam tego powiedzieć... wycofuję te słowa...

- Kiedy to było? Szybko, niech pani odpowiada! - krzyknął Janowicz.

- Kiedy groził, że panią zabije!?

- To... to było jeszcze przed wyjazdem Adama... Byliśmy wówczas na przyjęciu i w pewnym momencie zepsuł mi się zamek błyskawiczny.

Wyszłam do innego pokoju, by go naprawić, i... trwało to chyba dość długo...

- Sama pani wyszła, czy z Wernerem?

- Naprawdę sama. I taki był prawdziwy powód. To nie miało i nie może mieć związku z obecną sytuacją. Adam traktował mnie zawsze jak przedmiot. Uważał, że skoro kupuje mi kosztowne prezenty i jest moim narzeczoną, ma do mnie nieograniczone prawa. To podły typ!

- A jednak miała pani zamiar wyjść za niego... No dobrze. Nie interesują mnie zupełnie pani intymne sprawy, ale jako funkcjonariusz milicji prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa muszę wiedzieć absolutnie wszystko o ludziach, którzy stykali się z Wernerem. Czy pani zdaniem Adam Hornet byłby zdolny

do...

- Proszę pana, ja nie mogę na nikogo rzucać oskarżeń... Adam był bardzo impulsywny, a kiedy wpadał we wściekłość, mógł być nieobliczalny.

Wtedy na przyjęciu nie był tak pijany, żeby nie wiedział, co robi. Doszło do tego, że Piotr wyszedł bardzo obrażony i uważał, że Adam powinien go przeprosić. To jeszcze bardziej zdenerwowało Adama. Powiedział, że Piotr mógłby się wcześniej spodziewać śmierci niż jego przeprosin...

- Proszę się uspokoić. Na razie jeszcze niewiele wiemy, ale w końcu śledztwo doprowadzi do wyjaśnienia tej zbrodni.

Istotnie, nie mam prawie żadnych dowodów przeciwko panu Hornetowi.

Prosiłbym jednak, by pani nie opowiadała mu zbyt szczegółowo o naszej rozmowie. W pani własnym interesie. Dziękuję za rozmowę i przepraszam, jeśli okazałem się nieco szorstki. Gdybyśmy jeszcze potrzebowali pani wyjaśnień, powiadomię panią telefonicznie i mam nadzieję, że nie będę musiał wzywać tu pani ponownie.

- Dobrze, proszę pana. Chętnie służę pomocą. Do widzenia! - Klara uśmiechnęła się podając mu rękę i Janowicz pomyślał, że z tym uśmiechem było jej bardzo do twarzy...

XII

Samochód wolno sunął po mokrym asfalcie. Wycieraczki poruszały się monotonnym ruchem, zgarniając tłukące o szybę krople. Deszcz padał już od dwóch godzin i nie zanosiło się na poprawę pogody. Adam spojrzął na zegarek. Do spotkania z Klarą zostało jeszcze dwadzieścia minut.

Zastanawiał się, dlaczego nie chciała zaprosić go do siebie ani pojechać do Modrzewia. Uparła się porozmawiać w jakimś lokalu. Ostatecznie przystał na spotkanie w „Amforze”. Wprawdzie nie było mu to na rękę, miał inne plany na dzisiejszy wieczór, ale nie chciał drażnić Klary, która od jakiegoś czasu wyraźnie się zmieniła. Może to śmierć Piotra tak na nią podziałała - pomyślał z niechęcią. Któregoś dnia doszedł do wniosku, że teraz, kiedy już Piotr nie

umówi się na żadne spotkanie, nie będzie wracał do tego romansu. Znowu był panem sytuacji i widział, że Klara jest uległa jak dawniej i jak dawniej stara się odgadywać wszystkie jego życzenia; tylko chwilami wydawało mu się, że bierze w niej górę „druga natura”, jak to czasem określała.

Zostawił wóz przy ulicy Widok i ruszył szybkim krokiem w kierunku winiarni. Postawił kołnierz marynarki: rano było słonecznie, nie zabrał więc ze sobą płaszcz.

Klara czekała już w obszernym przedsionku. Ubrana była w czerwony nieprzemakalny płaszcz w białe kropki i białe kalosze na grubej podeszwie. Pocałował ją w mokry policzek.

- Spóźniłem się?

- Nie, to ja przyszedłam wcześniej. Musiałam się z tobą zobaczyć. Na dole nie ma miejsc. Co robimy?

- To było do przewidzenia. O tej porze wolny stolik? A w dodatku w taką pogodę. Mogłaś wymyślić jakieś lepsze miejsce.

?- Po prostu chciałam się napić wina, potem przypomniałam sobie, że na pewno jesteś wozem i zadzwoniłam ponownie, ale powiedziano mi, że już wyszedłeś. A teraz zupełnie nie wiem, co mamy zrobić.

- Jeśli chodzi o wino, to możemy kupić tu, na miejscu, i pojechać do ciebie.

- Można i tak, jeśli nie będzie cię irytowała obecność ciotki za ścianą.

Wiesz przecież, że jestem niejako na jej łasce.

- Nie przeszkadza mi ona. Co kupimy?

- Może malagę? Mam w domu kawałek piernika, zrobię kawę.

- No, dobrze. To jedźmy, bo szkoda czasu. Kiedy przyjechali na Chocimską, Adam zaciągając ręczny hamulec spojrzął w górę: - W oknach ciemno. Może ciotunia poszła do kościoła, bo chyba nie śpi o tej porze?

- Może jest w kuchni. Przekonamy się. Weszli do ciemnego przedpokoju.

Klara zapaliła światło i skierowała się do łazienki, zdejmując po drodze

płaszcz. Z otwartych drzwi pokoju odezwał się cichy głos: - To ty kochanie? Co tak późno?

- Tak, ciociu. Adaś mnie przywiózł. Napijemy się kawy. A dlaczego ciocia siedzi po ciemku?

- Coś mnie głowa rozboleła - w pokoju rozległo się szuranie pantofli - ale już wstaję. Nastawię wody.

- Skoro ciocię boli głowa, to proszę się nie fatygować.

- Nie, nie. Cały dzień człowiek siedzi sam, nie ma do kogo ust otworzyć.

Dobry wieczór, panie Adamie - ukazała się w drzwiach zawiązując pasek szlafroka. - Rzadko pan u nas bywa... Wiem, wiem, ma pan pewnie dużo pracy...

Klara za plecami ciotki uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Mamy z Adasiem bardzo ważną sprawę do omówienia. Potem pomogę cioci przy kolacji.

- Dobrze, moje dziecko, nie będę wam przeszkadzała. Porozmawiajcie sobie.

Kiedy zostali sami, Klara zaczęła bez wstępów: - Byłam dziś przesłuchiwana na milicji.

- Ciekawe. W - prawie tego zaj?ójtwa, tak? I co im powiedziałaś?

- Właściwie nic. Oni też chyba niewiele wiedzą i ciągną ludzi. Mają jednak dość dokładne informacje na temat przyjęcia u ciebie. Ktoś się musiał przysłużyć?

- Pytali o mnie? Mam nadzieję, że nie miałaś na ten temat zbyt wiele do powiedzenia?

- Właśnie mówię, że przesłuchujący mnie oficer wiedział o twojej kłótni z Piotrem. Wygląda na to, że zaczynają jakoś łączyć te fakty.

Adam zbladł.

- To idiotyczne. Nie myślisz chyba, że ja mógłbym go... Poza tym nie 'było mnie o tej porze w Modrzewiu. Podobno znaleźli go wczesnym rankiem.

- Nie było cię? Wyjeżdżałeś?

- Nie wyjeżdżałem. Ale nie chciało mi się robić w domu śniadania, więc wstałem przed siódmą i pojechałem do Warszawy. Zjadłem w jakimś barze, a potem poszedłem do Łazienek.

- Ale co ci się stało, że tak wcześnie? Pracę zaczynasz przecież o dziewiątej?

- No tak. ale po prostu tak się złożyło... Była ładna pogoda i nie chciało mi się spać. Nie ma w tym nic niezwykłego.

- Ja wiem, Adasiu, ale jeśli będą pytać szczegółowo, to przecież musisz jakoś udowodnić, co robiłeś w czasie, kiedy dokonano zabójstwa. Czy ktoś mógł cię zapamiętać?

- Ach, daj mi sijkój! Jestem niewinny i zupełnie mnie nie obchodzą cudze podejrzenia.

- Nie denerwuj się, kochanie. Po co zaraz podnosisz głos? - Klara wstała z fotela, przykucnęła obok Adama i oparła się na jego kolanach.

Zdawało jej się, że Adam zeszywniał. - Mam jakieś niedobre przeczucia, Adasiu. Ostatnio zauważyłam, że jesteś jakiś inny...

- Po prostu jestem trochę zmęczony. Wiesz przecież, jaką mani pracę. Prawdziwy młynek.

?- Ale nie jesteś taki jak dawniej. Szkoda, że tak się zachowałeś na tym przyjęciu. Wszyscy przecież słyszeli. Teraz milicja nie spuści cię z oka.

Dlatego się martwię.

Adam odstawił kieliszek, wziął Klarę za ramiona i odsunął od siebie.

- Do czego zmierzasz? Wyraźnie, sugerujesz, że to ja zabiłem. Boisz się też pewnie o siebie, co? Przyjmij więc do wiadomości, że nie jestem taki głupi, żeby się dać zrobić w ten pasztet.

Wstał z miejsca i zaczął przechadzać się po pokoju. Klara podniosła się również.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Wiesz, że czasami jestem przewrażliwiona. Ach, żeby się to już wreszcie skończyło! Żebyśmy już mieli

spokój! Może byśmy gdzieś wyjechali? Wzięłabym parę dni urlopu.

Ty chyba też nie miałbyś trudności, co?

Adam zmarszczył brwi. Stał przez chwilę odwrócony do niej plecami.

- Teraz to wykluczone - powiedział oschle. - Może w przyszłym tygodniu. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Zatelefonuję do ciebie, kiedy nasz wyjazd będzie możliwy. Pójdę już. Spij dobrze i nie martw się o mnie.

Po wyjściu Adama włączyła radio. Usiadła wygodnie w fotelu i oparła nogi na niskim pufie z wytłaczanej egipskiej skóry. Nalała sobie wina, pociągnęła długi łyk i zapaliła papierosa. Rozmowa z Adamem dała jej sporo do myślenia. Uważała zawsze, że zna się na ludziach, i była dumna ze swojej przenikliwości. Dzisiaj w tonie Adama uderzyło ją coś nieszczerego, jakaś fałszywie brzmiąca nuta. Postanowiła jeszcze raz przemyśleć sobie wszystko dokładnie.

Po rozmowie w komendzie milicji przez chwilę była zdecydowana opowiedzieć jej treść Adamowi. Po namyśle zrezygnowała jednak z tego zamiaru. Zastanowiła ją przebiegłość oficera prowadzącego śledztwo.

Zaraz, zaraz: jak on się nazywa? Aha, Janowicz. Nawet przystojny mężczyzna. Może nieco ostry, ale nie taki gbur jak Adam. Ciekawe, ile mu płacą za wykrywanie tych przestępców? Uświadomiła sobie, że właściwie rozmowa w komendzie toczyła się głównie wokół osoby Adama, a to całe gadanie na temat jej stosunku z Wernerem było tylko zręcznie zaaranżowanym pretekstem. A więc milicja musi coś podejrzewać. Ten kapitan usiłował wprowadzić kluczyć, ale jest niemal pewna, że mają Adama na oku. Może nawet nie przesłuchiwano go jeszcze, a ona dała się tak łatwo nabrać. A może to właśnie Adam coś przed nią ukrywa?

Ponownie napełniła kieliszek. W butelce ukazało się dno. Poczowała, że ciężkie wino zaszumiało jej w głowie. Ach, co tam - pomyślała. Raz mogę nieco więcej wypić. Jutro mam dyżur dopiero po południu. Zdążę się wyspać... Ale wróćmy do Adama. Co u licha robił tak rano w Warszawie?

Jeśli w ogóle tam był? Właściwie to jego tłumaczenie, że nie chciało mu się robić śniadania i wybrał się na spacer do parku, nie trafiło jej zupełnie do przekonania. Równie dobrze mógł być w Modrzewiu albo jeszcze gdzie indziej. Wzdrygnęła się na myśl, że dotykała przed chwilą człowieka, który być może zamordował Piotra. Nie wyobrażała sobie teraz wizyty w Modrzewiu. I nagle przypomniała sobie drogę ze stacji, trzask wbijającej się w drzewo strzały i swój potworny strach. Teraz dopiero zaczęła kojarzyć i inne szczegóły. Adama nie było wtedy w domu. Gdzie był?

Zjawił się zdyszany i twierdził, że szukał jakiegoś kiosku. Wszystko było jasne! Że też od razu na to nie wpadła.

Siedziała blada, dygocąc ze strachu. Zrozumiała nareszcie, że zwykły przypadek ocalił jej życie, gdyby się wtedy nie potknęła, leżałaby już na cmentarzu.

Wiedziała już, co ma robić, i to ją nieco uspokoiło.

Klara obudziła się o dziewiątej z silnym bólem głowy. Leżała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczyma i odtwarzała w pamięci wydarzenia wczorajszego dnia. Później zerwała się z posłania i otworzyła okno. Do pokoju wtargnął zimny, wilgotny wiatr. Wyjrzała na ulicę. Deszcz padał chyba przez całą noc, bo dookoła widać było kałuże, na których unosiły się pożółkłe liście. Zrobiła kilka głębokich wdechów i udała się do łazienki. Wzięła gorący i zimny prysznic, po czym ubrała się i zapominając o śniadaniu wybiegła z domu. Skuliła się pod uderzeniem zimnego wiatru. Znowu zaczął mżyć deszcz. Podniosła kołnierz płaszcza, ale nie chciało jej się wracać po parasol.

Automat telefoniczny znalazła dopiero przy placu Unii Lubelskiej.

Wykręciła numer komendy milicji.

- Chciałabym mówić z panem Janowiczem.

- Niestety, proszę pani, jest chwilowo nieobecny. A może mógłbym pani pomóc?

- Obawiam się, że nie. Moje nazwisko Nowicka. Muszę koniecznie

zobaczyć się z panem Janowiczem. Gdyby pan mógł się z nim skontaktować, proszę mu powiedzieć, że czekam do jedenastej w kawiarni „Tokaj” na Marszałkowskiej. Mam bardzo ważne informacje.

Powoli powiesiła słuchawkę. Postanowiła podjechać dwa przystanki tramwajem, bo rozpadało się już na dobre.

Wysiadła przy Hożej. Cofnęła się kilkanaście metrów i weszła na piętro do przytulnej kawiarenki. Zamówiła śniadanie.

Nie upłynęło nawet pół godziny, a nad małymi wahadłowymi drzwiami, jak w „saloonie” z westernu, ujrzała sylwetkę Janowicza, który po chwili zjawił się przy stoliku. Ruchem ręki zaprosiła go do zajęcia miejsca.

- Muszę przyznać, że jestem nieco zaskoczony - odezwał się kapitan.

- Ciekaw jestem, co to za sprawa panią niepokoi.

- Przemyslałam sobie dokładnie naszą rozmowę w komendzie. A wczoraj nasunęły mi się pewne skojarzenia... Nie wiem, czy to się akurat wiąże ze sprawą, ale ja istotnie jestem zaniepokojona.

- Słucham panią. Cóż to takiego?

- Otóż w trzy, cztery dni po przyjęciu u Adama umówiłam się z nim w jego domu. Kiedy szłam przez zagajnik, to taka droga na przełaj, potknęłam się w pewnym momencie o jakiś korzeń i wtedy usłyszałam uderzenie w drzewo, które właśnie mijałam. Przestraszona podniosłam głowę i zauważyłam, że w drzewie, na wysokości mniej więcej mojego ramienia, tkwiła długa strzała.

Janowicz nie usiłował nawet ukryć zdumienia i zaskoczenia.

- Jest pani tego pewna? Może to było złudzenie?

- To samo usiłował mi wmówić Adam. Ale ja nie mam żadnych wątpliwości. Proszę posłuchać, co było później. Kiedy zobaczyłam tę strzałę, uciekłam co sił w nogach w kierunku willi Adama. Okazało się, że nie było go w domu. Otworzyłam więc drzwi swoim kluczem. Adam zjawił się dopiero po dziesięciu minutach. Był nieco zdyszany. Kiedy zażądałam wyjaśnień, powiedział, że poszedł do kiosku i biegł, ponieważ nie chciał, żebym czekała.

Teraz przypominam sobie, że był jakiś nieswój.

Przekonywał mnie usilnie, że to przywidzenie i nawet poszedł ze mną do lasu, aby poszukać tej strzały. Oczywiście nic nie znaleźliśmy. Przyznaję, że uwierzyłam wówczas, że to było złudzenie, ale mogę przysiąc, że widziałam tę strzałę. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale właśnie Adam przywiózł z Ameryki kilkanaście strzał. Powtarzam, że nie wiem, czy to ma związek ze śmiercią Piotra, ale jedno jest dla mnie pewne: ktoś usiłował mnie wtedy pozbawić życia albo przynajmniej solidnie przestraszyć. A któż mógł mieć, oprócz Adama, dostęp do strzał? Przecież nie sposób tego ukraść. Człowiek idący z czymś takim na ulicy zwracałby uwagę...

- Pani wywody brzmią oczywiście logicznie, pod warunkiem, że istotnie fakt taki miał miejsce oraz że była to strzała stanowiąca własność pani narzeczonego...

- On już nie jest moim narzeczoną! Nie chcę mieć nic wspólnego z mordercą!

- Nie wolno pani tak mówić! Nie ma żadnych dowodów na to, że Hornet usiłował pozbawić panią życia. Zajmę się tą sprawą. W każdym razie bardzo pani dziękuję za te informacje. Proszę jednak również, aby pani zachowała swoje spostrzeżenia w tajemnicy. Nie powinna pani wspominać o naszej rozmowie swemu na... przepraszam, Hornetowi.

- Nie powiem nikomu. Może pan na mnie liczyć.

XIII

Janowicz pchnął furtkę i znalazł się przed domem Adama Horneta. Szedł wolno w kierunku drzwi wejściowych. Po drodze zatrzymał się przy krzaku ostrokrzewu i przez chwilę podziwiał jego kolczaste, błyszczące liście. Przeniósł wzrok na okna willi i zdążył zauważyć, że w jednym z nich kołysała się zasłona.

Zanim doszedł do schodków, drzwi otworzyły się i stanął w nich Hornet.

- Dzień dobry, panie kapitanie. Cieszę się, że pan wreszcie przyszedł.

- Nie wiem, czy to jest powód do radości, ale skoro pan to tak ujmuje...

?- Proszę wejść. Pan będzie łaskaw z hallu na lewo. Mam tam coś w rodzaju bawialni czy gabinetu.

Usiedli w fotelach. Adam zerwał się po chwili: - Czym mogę pana poczęstować? Kawa, herbata, wino?

- Jeśli ma pan jakiś wermut, to chętnie wypiję lampkę.

- Naturalnie. - Otworzył barek, wyjął butelkę „Isolabelli” i dwa kieliszki. - Zaraz przyniosę lód.

Janowicz rozejrzał się po pokoju. Sporo obrazów na ścianach, na kominku zegar z marmurowymi kolumnkami, a nad nim duży portret przedstawiający młodego człowieka opierającego się na rękojeści szpady.

Wstał z fotela i podszedł, by się lepiej przyjrzeć.

- Podoba się panu? - Hornet stał w progu, trzymając tacę, na której stał kubek z lodem, owoce i paluszki. - To mój ojciec, z okresu studiów w Dorpacie. Kazał się namalować w korporanckim stroju.

- Kim był pana ojciec?

- Lekarzem. Zmarł dziesięć lat temu. Przekroczył już osiemdziesiątkę.

- Tak... Pan z pewnością domyśla się, co mnie tu sprowadza?

- Oczywiście. Najpierw jednak chciałbym pana przeprosić za ten incydent na cmentarzu. Bardzo mi przykro. Byłem trochę zdenerwowany, bo...

- Bo wyobrażał pan sobie, że milicja zjawi się u pana natychmiast po uzyskaniu informacji o śmierci Wenera, prawda?

- Właśnie. - Hornet zmieszał się. - Tak myślałem... A ponieważ nikt się nie zjawiał, nie wiedziałem, jak to sobie tłumaczyć.

- Skąd dowiedział się pan o śmierci Piotra Wenera?

- Wiedziałem już na drugi dzień po zabójstwie. Mówię już, bo w dniu, kiedy się to stało, wróciłem późno do domu. Zatrzymałem się w Warszawie. Rano poinformował mnie o tym mleczarz.

- Jak długo znał pan Wenera?

- Poznałem go jakieś piętnaście lat temu w tym domu. Był gościem mego

ojca... Właściwie przyszedł wtedy z naszymi dobrymi znajomymi. Po śmierci ojca kontaktowaliśmy się dość często. Mieszka przecież w pobliżu. Mamy już teraz wspólnych znajomych...

- Ma pan na myśli Klarę Nowicką?

- Aha, widzę, że i o tym pan wie.. No cóż? Na tym przyjęciu, bo i to chyba pan wie, byłem tak zdenerwowany, że zacząłem mu prawieć impertynencje. Wypiłem trochę za dużo i...

- Kto, oprócz pana, mógłby mieć powód do morderstwa?

- Jak to, oprócz mnie? Chyba nie myśli pan, że...

- No, na dobrą sprawę miał pan motyw. A sądząc po pana, delikatnie mówiąc, obcesowych atakach na swojego gościa... Pan jest bardzo impulsywny, panie Hornet.

- Ależ panie kapitanie! Jak pan może! Owszem, byłem niegrzeczny czy nawet ordynarny w stosunku do Piotra, miałem nawet ochotę wziąć go za kłapy i wyrzucić z domu, ale nie do tego stopnia, by go uderzyć...

- Skąd pan wie, że go uderzono?

- No, jak to... przecież to oczywiste. Nie, nie, pan ma rację. Można użyć trucizny czy gazu... Ale co ja opowiadam. To kompletna bzdura!

- Może i bzdura. Jednego faktu nie da się jednak zaprzeczyć. Wenera ktoś zabił. No więc kto, pana zdaniem, mógł to uczynić?

‘ - Nie wiem, panie kapitanie, naprawdę nie wiem. Nikt go za bardzo nie kochał, ale też chyba nikt nie mógł go aż tak nienawidzić.

- Może pan sobie przypomni wszystkie szczegóły związane z jego ostatnim pobytem u pana. Przecież, o ile wiem, pan go przez cały czas nie spuszczał z oka.

- To przesada. Wychodziłem do kuchni po wódkę i lód.

- Dobrze. To nie jest ważne. Może jednak uderzyło coś pana w zachowaniu Wenera lub innych ludzi.

- To będzie trudne Ale zaraz... wie pan, wszyscy wtedy byliśmy już po

paru większych kolejkach...

- Co to znaczy: „wtedy”?

- Kiedy Piotrowi wypadł z teczki nóż. A raczej sztylet.

- Ciekawe. Nosił ze sobą sztylet? Bał się czegoś?

- Chyba nie. Chciał pokazać Jaworskiemu, wie pan, to jest ten z filmu, z którym pan rozmawiał, swój najnowszy scenariusz i, kiedy wyciągał z aktówki te papiery, na podłogę wypadł sztylet. Wszystkim się podobał, bo miał bardzo oryginalną rękojeść. Werner zbierał takie rozmaite rzeczy.

Zawsze frapowały go ciekawe formy. Chyba widział pan u niego w domu tę jego wystawę? Nie interesowało go, czy przedmiot miał pięćset lat czy dwadzieścia. Kiedy mu się coś spodobało, nie zważał na cenę. Znano go z tej strony w warszawskich sklepach „Desy”. Jeśli mieli coś dziwnego, zaraz dla niego odkładali. Tamten sztylet kupił, jak sam wtedy powiedział, poprzedniego dnia. Dobosz nawet zażartował, że na klindze są ślady krwi...

- Co za Dobosz?

- Operator filmowy. On właściwie nie znał Wenera. Może go nawet przedtem nie widział.

- To ciekawe co pan mówi. Czy może pan opisać ten sztylet?

- Mogę go panu narysować. Miałem go w ręce. Zresztą wszyscy go oglądali. - Wyrwał z jakiegoś zeszytu kartkę, wyjął pisak i zaczął rysować. - O, widzi pan, ostrze długości dwadzieścia, może dwadzieścia pięć centymetrów, kończące się rękojeścią w kształcie gryfa. Był wykonany ze srebra. Niewiele wart, ale niezwykle oryginalny. Gryf miał na piersi jakiś inicjał czy cyfrę, nie pamiętam. Werner mówił, że bardzo mu się podoba. Nawet dość skwapliwie go schował.

- Czy ktoś z obecnych zainteresował się szczególnie tym sztyletem?

- Raczej nie. Oglądali go wszyscy, ale w milczeniu. Jedynie Dobosz wyrwał się z tą krwią. Zresztą ja zacząłem pokazywać przywiezione pamiątki i sztyletem przestano się zajmować.

- Co to było?

- Takie różne drobiazgi. Trochę biżuterii, jakiś wachlarz, strzały...

- Jakie strzały?

- Dostałem od pewnego Metysa worek pleciony z jakichś włókien roślinnych i kilkanaście strzał. Ktoś nawet wyraził obawę, czy nie są zatrute - roześmiał się Hornet. - Ale te strzały to zwykłe pamiątki sprzedawane turystom. Kto by je zatrutował?

- Może mi pan je pokazać?

- Proszę bardzo. Miałem zamiar powiesić je w hallu, ale jakoś nie mogę się zdobyć na wbicie gwoźdźcia. Oto one.

Podał kapitanowi worek ze strzałami. Janowicz wyjął ostrożnie jedną z nich i zaczął starannie oglądać wąski i dość długi grot. Schował strzałę do futerału.

- Ile pan ich przywiózł?

- Dokładnie piętnaście. Mam tu gdzieś kwit z odprawy celnej. Zaraz poszukam.

- Niech się pan nie trudzi. Wierzę panu. Nie wiem tylko, dlaczego jest ich trzynaście. Co pan na to??- Nie rozumiem...

- Mówię, że jest tu tylko trzynaście strzał. Gdzie są dwie pozostałe?

- Nie wiem... - wyjąkał Hornet 2 wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. - Nie mam pojęcia. Od tamtej pory nie miałem ich w ręku.

Gdzieś musiały się zapodziać...

- Jak to, zapodziać? Same chyba nie ulotniły się z tego worka?

- Tak, naturalnie. Tylko kto je mógł zabrać i po co?

- Po co? Mógłby, na przykład, jedną z nich ulokować w ciele pana znajomego...

- To Piotr... tym został zabity? Nie wiedziałem o tym.

- Tego nie powiedziałem. Chciałbym jednak prosić pana o jedną z tych strzał. Nie wiem, czy są one tak niewinne, jak pan sądzi.

- Panie kapitanie, wobec tego proszę zatrzymać wszystkie. Ja nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Bardzo proszę.

- Dobrze, zabiorę je. A oto mój numer telefonu. Ten do biura, a ten do domu. Gdyby panu coś jeszcze przyszło na myśl w związku z tą sprawą, proszę do mnie natychmiast dzwonić. I jeszcze jedno, panie Hornet: może mi pan odpowie, co robił pan w dzień śmierci Wenera?

- Wstałem rano... około ósmej, zjadłem śniadanie i pojechałem do Warszawy.

- O której pojawił się pan w wytwórni?

- Około dziesiątej.

- A do tej pory co pan robił?

- Spacerowałem trochę, wszedłem do baru na kawę... Nic specjalnego nie robiłem.

- Czy pańskie słowa mógłby ktoś potwierdzić??- Jak to? - twarz Horneta stawała się coraz bledsza.

- Po prostu: czy ktoś pana widział? Tu w Modrzewiu lub w Warszawie?

Rozumie pan, że pana sytuacja nie jest zbyt jasna. I jeszcze jedno: proszę pozostać w Warszawie aż do odwołania. Żegnam pana.

XIV

Kiedy Zalewski skończył relacjonować kapitanowi przebieg swojej wizyty we Wrocławiu, na deszła przesyłka ze szpitala wojewódzkiego. To doktor Brzeski dostarczył protokół z sekcji zwłok Wenera. Obaj oficerowie, spojrzawszy najpierw na końcowy wniosek, zagłębili się w lekturze. Czas śmierci zgadzał się ze wstępnym orzeczeniem lekarza, nie to jednak pobudziło ich ciekawość.

„Oględziny i sekcja zwłok Piotra Wenera, lat 52 liczącego mężczyzny, prawidłowej budowy ciała i dobrego stanu odżywienia - brzmiała opinia szczegółowa - wykazały: rana darta płatowa czaszki z nieznacznymi podbiegnięciami krwawymi na brzegach - skutek zgniecenia znajdujących się

tam naczyń. Na podstawie kształtu ryny nie można określić, jakim narzędziem była ona nadana, praw dopodobnie jednak było to narzędzie wąskie o tępej krawędzi, np. pręt żelazny; rana kłuta klatki piersiowej o wyglądzie szczeliny z łamanym przebiegiem, z dodatkowymi drobnymi przecięciami u brzegu bez otarć naskórka ani podbiegnięć krwawych. Podobne obrażenia powstają, jeżeli wbite w ciało narzędzie ostre zostanie przekrzywione w ranie lub szarpnięte w kierunku bocznym, zwłaszcza przy wyjmowaniu. Na podstawie właściwości rany kłutej nie można ustalić, jakiego rodzaju narzędziem została ona zadana. Można jedynie powiedzieć, że było ono wąskie i o tępym ostrzu. Rana została zadana z góry ku dołowi...”

I tu całkowita niespodzianka: przyczyną zejścia śmiertelnego okazało się uduszenie. Zalewski zaczął wątpić w zawodowe kwalifikacje Brzeskiego, jednak Janowicz skłonił go do przeczytania następnego akapitu.”Doktor podkreślił, że wystąpił tu nietypowy zupełnie przypadek całkowitego zwiotczenia mięśni, będący wynikiem porażającego działania niektórych alkaloidów Powodują one zwiotczenie mięśni szkieletowych, międzyżebrowych oraz przepony. Lekarz stanął jednak na wysokości zadania. Po konsultacji z toksykologiem doszedł do niecodziennego wniosku. Werner został otruty kurarą z gatunku strychnos, stanowiącą wyciąg z południowoamerykańskich lian. W ciągu 15 do 25 minut po przedostaniu się jej do krwi nastąpił zgon. W tym miejscu Brzeski dołączył odręcznie napisaną kartkę, w której gratulował Jancwiczowi egzotycznej trucizny i z właściwym sobie poczuciem humoru proponował mu wyjazd do Ameryki Południowej w celu przeprowadzenia bezpośredniej konsultacji i pogłębienia wiadomości „dla dobra prowadzonego śledztwa”.

Pomyślawszy z sympatią o doktorze Janowicz sięgnął po słuchawkę i przekazał naczelnikowi ostateczny wniosek eksperta. Zalewski, nie rozumiejąc jeszcze o co chodzi, wytrzeszczył ze zdumieniem oczy.

Kapitan nie zaspokoił jednak jego ciekawości i wykręcił inny numer.

- Cześć, Włodek, masz już wynik ekspertyzy. Dobrze. I co tam było? Więc jednak... Dziękuję. Bądź tak uprzejmy i prześlij mi to przez gońca. Oczywiście jeszcze dzisiaj. Zaczyna mi bardzo zależeć na czasie. Na razie.

- Michał, powiedz wreszcie, o co tu chodzi! - nie wytrzymał już Zalewski.

- Nie denerwuj się. Zaraz wszystko ci wyjaśnię. Jeśli dobrze pójdzie, niedługo dobijemy do końca.

- A ja myślałem, że mój wyjazd do Wrocławia na coś się przyda.

Przecież Karol Werner był w dniu zabójstwa brata w Warszawie. I w dodatku, jak zdążyłem ustalić, przyleciał najwcześniejszym samolotem, a więc teoretycznie miał możliwość zamordowania brata. Motyw też można by znaleźć.

- No dobrz”, ale skąd u niego kurara?

- I ty mnie o to pytasz? Myślę, że o kurarze dowiem się od ciebie.

Zaledwie Janowicz zdążył podzielić się z Zalewskim uzyskanymi wiadomościami, ten zawołał z entuzjazmem:

- A więc mamy już sprawcę! Kiedy go zatrzymamy?

- Nie denerwuj się. Musimy zgromadzić więcej dowodów. Szalenie intryguje mnie jedna sprawa: chodzi o ten sztylet, który wypadł Wernerowi z teczki na przyjęciu. Otóż mam jego rysunek. Sztyletu nie znaleźliśmy, a przecież świadkowie zgodnie twierdzą, że miał go nosić przy sobie.

Podobno kupił go niedawno w jednym ze sklepów „Desy”. Weźmiesz rysunek i obejdiesz te sklepy. Nie ma ich zresztą tak wiele. A rzekomo niepotrzebnym wyjazdem do Wrocławia nie musisz się martwić, być może powrócimy jeszcze do tego faceta. Poza tym nie zapominaj, że sytuacja w śledztwie zmienia się z godziny na godzinę i to, co dziś wydaje nam się słuszne, jutro może się okazać błędem.

- A co z tym napadem na Klarę Nowicką? Chyba trzeba to dokładnie zbadać. Myślę, że powinniśmy przeprowadzić małą wizję lokalną.

- Nie ma podstaw, żeby jej nie wierzyć, chociaż mogła tę swoją przygodę

nieco upiększyć. Wiesz, jak to bywa a kobietami... Ale twoja propozycja jest niezła. Wrócimy do tego we właściwym momencie.

- Powiedz mi, co według ciebie przemawia za wersją, że zabójcą jest Adam Hornet?

- Motyw jest chyba oczywisty, związany z osobami Klary i Wenera.

Stąd wynikałaby chęć pozbycia się ich obojga. Hornet nie jest człowiekiem zrównoważonym, a o jego impulsywnym charakterze wiedzą wszyscy znajomi. Dziwne tylko, że chciał się pozbyć Klary właśnie w Modrzewiu... Może nie miał wyboru, a może miał już przygotowane jakieś alibi? Dalej, strzały z kurarą, a Wenera zginął właśnie wskutek przedostania się tej trucizny do krwi. Rana na piersiach mogłaby pochodzić od takiej strzały. Zginęły dwie: jedną zapewne zgładził Wenera, a drugą próbował załatwić narzeczoną. Nie potrafił wytłumaczyć, gdzie się podziały, a któż mógłby wynieść je niepostrzeżenie z domu?

- Pozostaje jeszcze sprawa sztyletu - wtrącił Zalewski. - Hornet mógł go Wenerowi ukraść, ale po co? A włamanie? Myślisz, że można je łączyć z osobą Horneta? I jego alibi? W żaden sposób nie można udowodnić, co robił w środę rano. Chęć skontaktowania się z tobą na cmentarzu daje również wiele do myślenia.

- Widzisz, Hornet znał doskonale zwyczaje Wenera i wiedział, że zastanie go rano w domu. Gospodarz mógł przypuszczać, że Hornet przyszedł go przeprosić, stąd ta kawa i alkohol. I wreszcie samochód: mając tak szybkiego forda mógł w ciągu kilkunastu minut znaleźć się w Warszawie.

- Słuchaj, a dlaczego w naszych rozważaniach nie bierzemy pod uwagę Klary? Ona też miałaby motyw. Może bała się ujawnienia szczegółów zażyłości z Wenerem? Napad mógł być sfingowany.

- W tym stadium śledztwa musimy brać pod uwagę każdą koncepcję, chociaż osobiście nie bardzo wierzę, że mogła to być Nowicka. Moje przekonanie to żaden dowód, ale intuicja mi mówi coś innego.

Postanowił zacząć od Rynku Starego Miasta. Tamtejsza „Desa” nie należała wprawdzie do najczęściej odwiedzanych, ale interesowały go postępy prac nad odbudową Zamku.

Zalewski należał do pokolenia powojennego i Zamek znał jedynie z albumów, filmów i opowiadań, toteż chciałby jak najprędzej ujrzeć go w całej krasie. Wchodząc w Świętojańską zerknął ciekawie na orszak weselny odjeżdżający sprzed Pałacu Ślubów. To zrozumiałe, że młode pary upodobały sobie właśnie ten urząd. Podniosły nastrój i niecodzienna sceneria wzmagaly i tak już przecież ogromne przeżycie.

Na Rynku kilka wycieczek słuchało z zaciekawieniem informacji przewodnika o losach Warszawskiej Starówki. Mijając „Largactii” z rozrzewnieniem wspominał niekonwencjonalne zabawy z czasów studenckich. Lata studiów wydały mu się nagle zamierzchną przeszłością.

Po wejściu do „Desy” poprosił o skontaktowanie go z kierownikiem.

Pokazał precyzyjnie wykonany szkic sztyletu, informując przy tym, iż został on prawdopodobnie nabyty około dwóch tygodni temu przez Piotra Wenera. Kierownik znał wprawdzie Wenera, który będąc częstym gościem w tej dzielnicy kupował tu czasem jakieś drobiazgi, jednak sztyletu sobie nie przypominał. Dla pewności poprosił jedną z pracownic, by przejrzała kartotekę. Po kilkunastu minutach okazało się, że sklep nie miał w sprzedaży takiego przedmiotu. Dobra i taka informacja - pomyślał Zalewski. Zostały mu jeszcze dwie „Desy”.

Przeprósiwszy za kłopot udał się w kierunku przystanku autobusowego.

Wkrótce znalazł się przy Wareckiej. Obejrzał na wystawie dziewiętnastowieczny serwis z rosyjskiej porcelany i skrzywił się na widok ceny. Osiemdziesiąt tysięcy! Wolałbym już fiata 126p - pomyślał, chociaż i ta sprawa była chwilowo nierealna. W „Desie” spotkała go niespodzianka. Miła starsza pani pamiętała doskonale sztylet. Istotnie nabył go Werner, będący i tu znaną postacią, jednak w jakieś dwie godziny później zdenerwowany młody

człowiek pytał dość obcesowo o nabywcę tego drobiazgu. Zdziwiła się wówczas tym nagłym zainteresowaniem, bo sztylet dość długo leżał na wystawie. Pamięta, że podała temu mężczyźnie nazwisko Wenera. Twarze stałych klientów zna dość dobrze, jednak tamten człowiek do nich nie należał. Widziała go po raz pierwszy w życiu.

Zalewski dowiedział się jeszcze, iż sztylet został przyniesiony do „Desy” przez niejakiego Karolaka, mieszkającego na Pradze, który systematycznie „zasilał” salon różnymi drobiazgami.

- Czy mogłaby pani bliżej scharakteryzować ten sztylet? - zapytał Zalewski.

- Nic nadzwyczajnego. Zaręczam, że nie była to rzecz o większej wartości.

Zalewski postanowił „iść za tropem”. Nie tracąc czasu pojechał na Pragę pod wskazany mu w „Desie” adres.

Drzwi otworzyła starsza kobieta przepasana nie pierwszej czystości fartuchem.

- Ja do pana Karolaka...?

- To tutaj. Drugie drzwi na prawo. Ma pan szczęście, bo przed chwilą wrócił do domu. Pan pewnie chce coś kupić?

- Właśnie. Słyszałem, że można u niego znaleźć jakiś ładny drobiazg, a że akurat żona ma imieniny...

- Nie wiem, po co komu te stare rupiecie, ale to nie moja sprawa. Niech pan mocno puka, bo radio gra, a ja, chociaż stara, mam od niego lepszy słuch.

Zalewski spojrział na ręcznie wypisaną wizytówkę: „Marian Karolak emerytowany księgowy”, i energicznie zapukał.

- Dzień dobry panu. Widzę, że tu prawdziwe muzeum - powiedział, wskazując na walające się dookoła przedmioty.

- A tak. Trochę człowiek jeździ po Polsce i zwozi takie różności. Czasem sprzeda się coś, bo przecież trzeba jakoś żyć...

Gdy Zalewski wyjaśnił mu powód wizyty i pokazał rysunek sztyletu, emeryt przypomniał go sobie natychmiast.

- Tak, wiem. Wstawiłem sztylet razem z innymi drobiazgami do „Desy” na Nowym Świecie jakieś cztery miesiące temu. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że ktoś za tę cenę go kupi. Był ładny, ale trochę podniszczony.

Ale klient się trafił i półtora tygodnia temu otrzymałem pieniądze.

- Czy mógłby mi pan coś powiedzieć o tym sztylenie?

- Trudnię się już tym od kilku lat, a jak byłem młodszy, to nawet czytywałem coś niecoś z historii sztuki. Sztylet kupiłem od jakiegoś chłopca na Pomorzu. Dokładnie nie pamiętam, ale było to w okolicach Władysławowa. Zaciekawiał mnie język tego gryfa. Może był to kiedyś oryginalny klucz do zegara?

- No tak. Dziękuję panu za informacje. Życzę powodzenia w interesach.

Może dorobi się pan majątku.

- Jaki tam majątek! Ot, sprzedaje się coś od czasu do czasu i to cały handel. Jak by pan chciał kupić kiedyś jakiś drobiazg, chętnie odstąpię o kilka złotych taniej.

- Może i będzie taka okazja. Do widzenia!

XV

Było późne popołudnie, gdy Janowicz zadzwonił do mieszkania Korytowskich. Otworzyła mu Katarzyna.

- Gdzie to zapisać?! Marku! - zawołała w głąb mieszkania. - Mamy miłego gościa! Proszę dalej, panie Michale. Jesteśmy bardzo radzi.

Katarzyna zakrzętała się w kuchni i za chwilę wniosła butelkę miodu i piernik.

- Niestety muszę panów opuścić, umówiłam się z krawcową. Zabiorę ze sobą Piotrusia, więc będziecie mogli swobodnie porozmawiać. Jeżeli będziecie mieli ochotę na kawę, musicie sami zaparzyć.

Po wyjściu żony Marek popatrzył na przyjaciela.

- Wyglądasz, jakbyś miał jakieś zmartwienie - zauważył. - Czuję, że tym razem przyszedłeś w jakimś interesie.

- Zgadłeś - uśmiechnął się Janowicz. - Istotnie, od paru dni borykam się z pewnym problemem... Wspominałem ci niedawno o sprawie, którą prowadzę?

- Chodzi o tego literata?

- Tak. Otóż ustaliliśmy, że z mieszkania zamordowanego zginął prawdopodobnie tylko jeden przedmiot. Sztylet. Nie jest to jednak jakiś zwyczajny nóż, ale rzecz dość oryginalna. Mam prawie pewność, że odgrywa ona w tej sprawie istotną rolę. Mówi mi to przeczucie, chociaż przeczucia miewają podobno tylko stare baby. Poza tym nic mogę wpaść na żaden rozsądny pomysł.

- Nie wiem, w czym mógłbym ci pomóc? Jak wygląda ten sztylet?

- Mam w miarę dokładny rysunek, sporządzony na podstawie opisu osób, które go widziały. Proszę, oto on - Michał wydobył z kieszeni złożony w kilkoro papier.?- Rysunek wykonany jest w jkali jeden do jednego.

- Macie doskonałych plastyków. Bardzo staranna robota. Domyślam się, że chciałbyś usłyszeć, co mi ten rysunek mówi. Zazdroszczę ci...

- Czego? - spytał zdumiony Janowicz.

- Takiego zdolnego przyjaciela, który zaraz postara się wszystko ci wyjaśnić - zaśmiał się Marek. - Ale poważnie: przede wszystkim kształt rękojeści wyklucza możliwość użycia sztyletu jako broni. Zgodzisz się ze mną, że byłoby bardzo niewygodnie trzymać go mocno w ręku. Przeszkadzają skrzydła gryfa. Bez zbytniego ryzyka mogę dodać, że nie był to również sztylet od parady.

Nigdy nie spotkałem się z takim, proporcje głowni i rękojeści są dość szczególne. Idźmy dalej: powiadasz, że ten skrzydlaty lew jest wykonany ze srebra; szkoda, że nie mamy cechy i próby metalu* znajdowały się prawdopodobnie w tym wgniecionym miejscu. Moim zdaniem, spiralnie skręcona dolna część rękojeści wskazuje na to, że pochodzi ona z osiemnastego

wieku. Świadczy również o tym roślinna dekoracja kartusza, czyli tarczy herbowej na piersi gryfa. Zamiast herbu są tu jednak litery „JH”. Czekaj, czekaj... przychodzi mi coś do głowy... Czytałem gdzieś o gdańskim złotniku, nazwiskiem Jacob van Huydens, którego ród osiedlił się w Polsce pod koniec siedemnastego wieku. To może zresztą nie mieć dla ciebie żadnego znaczenia. Trzymajmy się więc rysunku. Język gryfa, jak wynika z objaśnienia, jest stalowy i dość daleko wysunięty z dzioba.

Gdyby tak puścić wodze fantazji, można by powiedzieć, że sztylet jest swego rodzaju klamką do otwierania jakichś drzwiczek... To byłoby ciekawe, co? Wkładasz język gryfa w otwór ukryty w boazerii jakiegoś pałacu, przekręcasz, słychać zgrzyt i pisk i oto otwierają się sekretne drzwi, wiodące do pomieszczenia, w którym na łożu pod baldachimem spoczywa piękna dziewczyna ubrana w powiewne szaty... Podobałoby ci się to, co? Masz taką minę, jak byś już lam był. Znam cię, ale nic z tego.

W twojej kawalerce nie ma boazerii, a dziewczyny wpuszczasz pewnie po cichu normalnymi drzwiami - roześmiał się, widząc zawiedzioną minę Janowicza.

- Podoba mi się ta historia, ale nie ze względu na tę leżącą dziewczynę.

Wiesz, że to, co mówisz, naprawdę trzyma się kupy. Proszę cię, spróbuj jeszcze pofantazjować.

- Niestety, nic więcej z tego obrazka nie wyczytam. A jaki to ma, twoim zdaniem, związek z tym zabójstwem?

- Jeszcze nie wiem, ale przy założeniu, że ktoś zabił, aby zdobyć sztylet... Musiał on mieć dla niego znaczenie zgoła nie kolekcjonerskie.

Coś się za tym kryje i to coś ważnego. Co jeszcze, oprócz tych tajnych drzwi, mógł otwierać taki sztylet?

- Skoro już fantazjujemy, róbmy to dalej. Mógłby służyć do otwierania skrytki. „Dziurka od klucza”, jeśli można tak powiedzieć, musiała być niewidoczna dla oka, ukryta na przykład wśród rzeźb. Mam! Skrytka w szafie!

- W jakiej szafie?

- W gdańskiej! Takie szafy były bardzo bogato rzeźbione.

- No, no. Ciekawe. Chętnie posłucham.

- Dobrze. Jeżeli ci to nie pomoże, to z pewnością nie zaszkodzi. Otóż gdańska odmiana barokowego sprzętu północnoeuropejskiego wykrystalizowała się w pierwszej połowie osiemnastego wieku. W tym to okresie barok gdański staje się jedynym z narodowych stylów w meblarstwie. Jego genezy należy szukać w pobliskich Niderlandach.

Wzorniki słynnego Jana Vredemana de Vries, ucznia Cornelisa Florisa, a także jego dzieło o meblach wywarły prawdopodobnie decydujący wpływ na mistrzów gdańskich. Ponadto na terenie Gdańska działali tacy artyści, jak na przykład Antoni van Obbergen i rodzina van den Blocke. Najpopularniejszym meblem była właśnie szafa.

Jak wspomniałem, z początkiem osiemnastego wieku wpływy sztuki holenderskiej my leją i gdańszczanie tworzą własny typ dwuskrzydłowej szafy, wspartej na kulistych nogach, z bogato rozwiniętym zwieńczeniem, o wybujałej ornamentyce snycerskiej, roślinnej i figuralnej. Często w zwieńczeniu występuje herb Gdańska lub inny bogato rzeźbiony element dekoracyjny. Jest to prawdziwy fenomen w polskim meblarstwie. Szafa gdańska ma duże wymiary, punkt ciężkości przechodzi z drobiazgowej ornamentyki na wyraźne wyznaczenie bryły mebla o tendencjach architektonicznych, podkreślonych choćby w gzymsach, silnie wysuwających się przed lico szafy, albo w profilowaniu płyt drzwiowych, umieszczonych między półkolumnami lub pilastrami. Myślę, że prawidłowe byłoby następujące skojarzenie: gdybyś miał dalej szukać, to zgodnie z regułami gry i bez większej obrazy historii należałoby znaleźć gdańską szafę z gryfem na zwieńczeniu lub na płytach drzwiowych.

Szczytem szczęścia i wskazówką, że nasze rozważania miały sens, byłoby również znalezienie na tym meblu inicjałów umieszczonych na sztylcie.

Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu? Nie znam wprawdzie waszych

metod, ale zarządziłbym poszukiwania przynajmniej w północnej Polsce.

Nic na tym nie stracisz.

Warto zaryzykować. Czuję, że mnie samego zaczęło to wciągać...

- Może i masz rację. Zastanowię się nad tym. W każdym razie dziękuję ci za ciekawe informacje. Jest tyle rzeczy na świecie, o których człowiek nie ma pojęcia.

- Minęły czasy Arystotelesa. Nie powinieneś sobie niczego wyrzucać.

- Całe szczęście, że w potrzebie można zasięgnąć rady specjalisty. No, pójdę już. Zaczyna mnie ciągnąć do pracy. Przeczucie mi mówi, że nie darmo cię odwiedziłem.

- Te twoje przeczucia - roześmiał się Marek. - Oby cię doprowadziły do pomyślnego zakończenia. Daj znać, kiedy zaczniesz ci z tego coś wychodzić.

Nazajutrz Janowicz przyszedł do komendy w doskonałym nastroju.

Wesoło pogwizdując wszedł do pokoju, w którym pracował razem z Zalewskim. Ten podniósł na niego zdziwione spojrzenie: - Co ci tak wesoło? Miałeś wczoraj udaną randkę?

-? Istotnie, randka była udana, ale było to spotkanie z mężczyzną, dzięki któremu rozjaśniło mi się nieco w głowie. Daj rysunek tego gryfa na te-lefoto; niech prześlą do posterunków w całym kraju. Każ nadać jednocześnie, by szukano mebla z takim właśnie ornamentem. W muzeach, w sklepach „Desy”, w instytucjach państwowych, szkołach, u osób prywatnych, słowem wszędzie. Wyniki chciałbym mieć jak najszybciej. Wydaje mi się, że jeśli moje przypuszczenia się sprawdzą, będziemy mieli motyw zabójstwa, a więc może i sprawcę. Moja hipoteza zakłada, że Werner zginął, bo nie rozstawał się ze sztyletem, który stanowi klucz do jakiejś ważnej sprawy. Z twoich ustaleń wynika, że gdyby sprawca zdążył kupić go w „Desie”, nie doszłoby do tragedii.

XVI

Do pokoju Horneta zajrzał Marcin Dobosz.

- Jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, to chodź obejrzeć moją

składankę o Warszawie.

W niewielkiej salce projekcyjnej siedziało już kilka osób. Właśnie kończył się przegląd filmów dokumentalnych i za chwilę miał się zacząć pokaz Dobosza.

- Uprzedzam cię, że nie jest to arcydzieło, ale takie dość luźne migawki ze współczesnego życia stolicy - powiedział siadając za pulpitem. - Proszę, zaczynamy - rzucił do mikrofonu.

Horneta nieobecnego w kraju przez kilkanaście miesięcy zainteresował film, świadczący, jak niemal z dnia na dzień zmienia się wygląd stolicy.

Siedział zwrócony bokiem do ekranu, wymieniając jakieś uwagi z Rychlikiem, gdy ukazało się nowoczesne osiedle „Za Żelazną Bramą”, zwane kiedyś „dzikim zachodem”. Kątem oka uchwycił zbliżenie polskiego fiata, który wydał mu się znajomy. Pod wpływem niejasnego jeszcze skojarzenia poprosił Dobosza o powtórzenie kadru. Tak. Teraz już nie miał wątpliwości: fiat z numerem rejestra cyjnym 1543 należał do Piotra Wenera. Kiedy zapytał Dobosza, którego dnia kręcili to ujęcie, odpowiedź zaskoczyła go: to był dzień śmierci Piotra.

- Wiesz co, Marcin, ten samochód świetnie wygląda na tle wieżowców; no i ta dziewczyna... Czekaliście specjalnie, aż ktoś podjedzie, czy ten samochód stał tam przedtem?

- Prawdę mówiąc, dzięki dziewczynie znalazł się samochód.

Hornet przez przyzwoitość odczekał do końca filmu. Mimo wszystko postanowił zadzwonić do Janowicza. Umówili się w agencyjnej kawiarni w śródmieściu. Lokal świecił o tej porze pustkami, co było dość dziwne, zważywszy fakt, że większość warszawiaków uwielbia załatwianie wszelkich spraw służbowych i prywatnych w godzinach przedpołudniowych. Ledwo Hornet zajął miejsce przy stoliku, w kawiarni pojawił się Janowicz. Nawet z gustem się facet ubiera - pomyślał z uznaniem, lustrując zgrabną sylwetkę kapitana.

Zamówili paschę, jedną ze specjalności tego lokalu. Kelnerki ubrane w barwne łowickie stroje krzątały się po sali. Po wymianie kilku konwencjonalnych zdań Hornet opowiedział Janowiczowi o porannym pokazie.

- Cieszę się, że przyszedł pan z tym do mnie. Udzielana przez społeczeństwo pomoc ma dla nas istotne znaczenie.

- O ile mogłem się zorientować, pan kapitan nie zawsze tę pomoc docenia. Miałem taką przygodę na cmentarzu...

- Niepotrzebnie się pan obraził. Kierunek śledztwa i kolejność przesłuchań wyznaczam sam i stąd może to małe nieporozumienie. Ale nie wracajmy już do tego tematu. Kto poza Doboszem i jego ekipą może potwierdzić dzień i godzinę kręcenia filmu?

- Z tym nie będzie większych kłopotów. Można sprawdzić w dwóch miejscach: kiedy został wzięty wóz z wytwórni i kiedy wypożyczony sprzęt. Czy chciałby pan - obejrzeć ten film?

- Oczywiście. Zresztą i tak będzie on potrzebny jako materiał dowodowy. W tej sytuacji musimy prosić pańskiego szefa o kopię.

- Do jakiej taśmy macie przystosowany aparat projekcyjny?

- Dokładnie nie wiem, ale oglądałem w naszym laboratorium filmy szesnastomilimetrowe. Dla pewności jeszcze sprawdzę.

- Wobec tego nie będzie żadnych przeszkód natury technicznej. Film Dobosza zrobiony jest na szesnastce. No, ale zrobiło się późno, muszę zaraz wracać do wytwórni. Właściwie wyskoczyłem tylko na chwilę.

- Dziękuję panu. Jeszcze jedno, chciałbym panu powiedzieć, że może już pan opuszczać Warszawę. Ale prosiłbym o telefon, gdyby zaistniała konieczność dłuższego wyjazdu.

- To znaczy, że już mnie pan nie podejrzewa?

- W naszym prawodawstwie podejrzaną jest osoba, której odczytano postanowienie o przedstawieniu zarzutów...

- W tej sytuacji to i Klara pozostaje w orbicie pańskich zainteresowań?

- przerwał Hornet.

- Zdaje się, że już wszystko załatwiliśmy... Do wytwórni przyśle porucznika Zalewskiego. Jeszcze raz dziękuję za informację.

Dziwny człowiek - myślał Janowicz wracając do komendy. Przecież dostarczone przez niego wiadomości nie uwalniają go od podejrzeń.

Chyba w ten sposób stara się mnie przekonać, że ma u nas czystą kartę.

Może to i lepiej?

Janowicz siedział w salce projekcyjnej oglądając już któryś raz z rzędu otrzymany z wytwórni odcinek kolorowego filmu. Nie ulegało wątpliwości, że widoczny przez jakieś dziesięć sekund fiat jest własnością Wenera. Jednak oko kamery zatrzymało się w tym miejscu nie dla samego wozu, bo nie stanowił on przecież na warszawskiej ulicy żadnej rewelacji.

Powodem zainteresowania operatora, posługującego się teleobiektywem, była jakaś dziewczyna, która - rozejrzawszy się najpierw wokoło - przystanęła za wozem i poprawiała pończochę. Dzięki temu przypadkowi numer rejestracyjny samochodu widać było zupełnie wyraźnie. Nic więcej jednak z filmu nie wynikało. Janowicz pomyślał, że i tak powinien być wdzięczny losowi i tej dziewczynie, bo film w połączeniu z informacją o czasie i miejscu jego kręcenia stanowił ważne ogniwo w dotychczasowej koncepcji śledztwa, a nawet mógł okazać się rewelacją.

Kiedy tak rozmyślał, drzwi od pomieszczenia gwałtownie się otwały i stanął w nich Zalewski.

- Michał! Jesteś tu? - zawołał, niewiele widząc w blasku ekranu z zatrzymanym obrazem. - Chodź szybko! Jest szafa!

- W porządku. Skoro już jest, to nie ucieknie. Skąd przysłano wiadomość? Żeby się tylko nie okazało, że to nie jest szafa, tylko komoda, i nie z gryfem, tylko z aniołami. Mieliśmy już parę takich informacji.

- Wiadomość pochodzi z Dąbrowy. To miasto nad zachodnią granicą Polski. Mebel znajduje się w muzeum, a wzór na nim pokrywa się z rysunkiem,

który rozesłaliśmy. Dodatkowo podano, że są tam również jakieś litery, ale dość trudne do odcyfrowania, bo mebel jest sfatygowany.

- Nie do wiary! Właściwie pochodzę z tego miasteczka. Ściślej mówiąc, mieszkałem tam od wyzwolenia do pięćdziesiątego siódmego roku. Potem byłem tam jeszcze ze trzy razy. Z przyjemnością odwiedzę to miasto jeszcze raz.

*

Janowicz trzymając w ręku słuchawkę wyraźnie się niecierpliwił.

Monolog jego rozmówcy był stanowczo przydługi.

- Tak, rozumiem - przerwał wreszcie. - Nic na to nie poradzę.

Przypuszczam, że impreza potrwa jeszcze kilka dni. Moim zdaniem powinni skorzystać z okazji. Jeszcze jedno: ciekawsze meldunki przekazujcie telefonicznie. Naturalnie, później muszę je mieć na piśmie.

Tak, znam kryptonimy obserwowanych: „Alfa” i „Orion”. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę milczał zastanawiając się nad czymś.

- Widzisz, Andrzej - zwrócił się do opartego o szafę Zalewskiego - wywiadowcy skarżą się, że nasi klienci przysparzają im nieco kłopotów.

Muszą się jednak uzbroić w cierpliwość... Jutro z samego rana jedziemy do Dąbrowy - zdecydował nagle. - Przygotuj się. Tu nic nie wysiedzimy, a dopóki nasi podopieczni nie wykazują chęci do podróży, nic nie ryzykujemy. Możemy spokojnie obejrzeć szafę.

Wkrótce nadeszły kolejne meldunki odtwarzające każdy krok „Alfy” i „Oriona”. Zastanawiający był fakt, że żadne z nich nie poszło do pracy.

„Alfa” po zjedzeniu śniadania w hotelu „Europejskim” rozmawiała telefonicznie z biurem „Lotu” na Waryńskiego. Treści rozmowy nie zdołano ustalić. Potem pieszo dotarła do Świętokrzyskiej i przystanęła przed „Orbisem”, interesując się trasami i cenami wycieczek zagranicznych. Stamtąd udała się w kierunku swego domu i nie opuszczała mieszkania do czternastej. Godzinę później w „Pol-resie” na Nowogrodzkiej wykupiła bilet na pociąg ekspresowy do Poznania, odjeżdżający nazajutrz w godzinach rannych.

- Z Poznania jest niedaleko do Dąbrowy - stwierdził Zalewski. - Wszystko wskazuje na to, że nasze drogi zbiegną się w muzeum.

Trafiliśmy na właściwy ślad. To jednak „Alfa”...

- Nie ciesz się przedwcześnie. To może być zwykły przypadek.

Rozmowę przerwał dźwięk telefonu. To jeden z wywiadowców, obserwujący „Oriona”, zawiadamiał, że jego podopieczny kupił na Dworcu Centralnym bilet do Poznania na jutrzejszy ekspres.

Przypadek, czy wcześniej uzgodniona taktyka? - zastanawiał się Janowicz. Ostatecznie postanowił nie odkładać wyjazdu, a nawet go przespieszyć. Nawiązał kontakt z wywiadowcami i uzgodnił z nimi miejsce spotkania w Poznaniu. Ustalili, że Janowicz z Zalewskim będą czekali na parkingu restauracji znajdującej się w pobliżu zachodniego wyjścia z poznańskiego dworca i w zależności od sytuacji na miejscu podejmą konkretne decyzje.

0 prawdopodobnych zamiarach obserwowanych zostały powiadomione jednostki milicji w Poznaniu i Dąbrowie.

Wyjechali dwie i pół godziny przed odjazdem ekspresu. Janowicz widział, że jego współpracownik wyraźnie się niecierpliwi - milczał jednak przypominając sobie pierwsze kroki stawiane w tym zawodzie. Po kilku dniach pracy powierzono mu sprawę, którą musiał samodzielnie prowadzić. Doświadczenie zdobywał wówczas na własnych błędach, a popełniał ich wcale nie tak mało.

Po przyjeździe do Poznania stanęli zgodnie z umową na parkingu. Tam odnalazł ich wywiadowca i poinformował, że „Alfa” i „Orion” jechali w oddalonych od siebie wagonach. Ani przed odjazdem, ani w czasie podróży nie kontaktowali się ze sobą; nie widzieli się zresztą nawzajem.

- Dobrze - skwitował te informacje Janowicz. - Macie tu numer telefonu, pod którym będę w Komendzie Wojewódzkiej. Kierujcie tam wszystkie dalsze informacje.

Późnym wieczorem wszystko było dla Janowicza zupełnie jasne. Otóż „Alfa” zarezerwowała w biurze zakwaterowania pokój w hotelu „Wielkopolska”, a po zainstalowaniu się kupiła w pobliskiej kwiaciarni pogrzebowy wieniec z żółtozłocistych chryzantem. Potem, już z czarną opaską na rękawie, dotarła na Stare Miasto i zniknęła w jednej ze stojących przy rynku kamieniczek. Bez trudu ustalono, że chodziło o pogrzeb brata matki „Alfy”. W tej sytuacji należało zająć się wyłącznie „Orionem”. Jeszcze na dworcu błąkał się przez jakiś czas, usiłując uzyskać informacje o kursowaniu dalekobieżnych autobusów. Skierowano go wreszcie na dworzec autobusowy. Tam długo studiował rozkłady jazdy, wreszcie udał się do kasy. Dziewczyna siedząca w okienku tłumaczyła mu, że jedyny autobus do Dąbrowy odjeżdża o szesnastej. Musiał mieć zmartwioną minę, bo zaczęła go pocieszać, że odkładając wyjazd na następny dzień będzie miał okazję zwiedzić Poznań, a bilet kupi bez żadnych trudności już w autobusie. W tej sytuacji „Orion” udał się do biura zakwaterowania, gdzie poprosił o nocleg w kwaterze prywatnej.

Otrzymawszy kartkę z adresem pojechał tam taksówką i kwatery już nie opuszczał.

Janowicz z Zalewskim skorzystali z pokoi gościnnych komendy. Do Dąbrowy postanowili wyjechać następnego dnia wczesnym rankiem.

15C

Po niespełna dwóch godzinach jazdy dotarli do miasteczka.

- Zostawimy wóz na parkingu przy dworcu. Warszawska rejestracja za bardzo rzuca się w oczy - odezwał się Janowicz. - Do komendy będzie wprawdzie kawałek drogi, ale mamy jeszcze sporo czasu. Później nie będzie już okazji do zwiedzania miasta, zaliczymy więc tylko to, co zobaczymy teraz. Będę twoim przewodnikiem.

Skęcili w ulicę Staszica, starą, wysadzaną po obu stronach lipami aleję.

- W dniu dojścia Hitlera do władzy, bo w owym czasie miasteczko należało do Niemiec, zasadzono w tym miejscu drzewko i otoczono je pergolą.

Pamiętam, że w listopadzie czterdziestego piątego roku ludność polska zlikwidowała ten pomnik faszyzmu. A i kilka innych pamiętających jeszcze czasy kajzera. Już wówczas wszyscy wiedzieli, że miasto na zawsze wróciło do prawowitych gospodarzy.

W to późne, nieco senne popołudnie ruch w miasteczku jak gdyby zamarł.

Tylko główną ulicą miasta jechały w kierunku Zielonej Góry samochody ostatnich urlopowiczów, wracających znad morza. Wozy zmierzające w przeciwnym kierunku miały najczęściej szwedzką rejestrację.

- Lata wojny okazały się wyjątkowo łaskawe dla tego miasteczka - kontynuował Janowicz. - Wojska niemieckie na tym odcinku cofały się w takim popłochu, że nie stawiały żadnego prawie oporu. Dzięki temu ocalały liczne zabytki. A trzeba ci wiedzieć, że początków Dąbrowy należy szukać jeszcze w prehistorii. Za czasów Mieszka I był tu już warowny gród, wielokrotnie na przestrzeni dziejów niszczone i odbudowywany. Później przekształcono go w zameczek myśliwski. Był okres, że urząd starosty piastował tu hetman Jan Zamojski. Na szczycie wieży ratuszowej - dodał Janowicz, kiedy mijali rynek - na miejscu dzisiejszego orła znajdował się kiedyś brandenburski indyk. I prawdziwa ciekawostka. Kiedy Napoleon zatrzymał się tu na krótki czas w drodze na podbój Rosji, własnoręcznie przestrelił go z pistoletu. Pistolet znajduje się obecnie w Wielkopolsce, w muzeum Bukowieckich w Cichowie.

- Uroczym miasteczko - odezwał się Zalewski. - Można rzeczywiście je polubić. Tyle tu zieleni. Warto tu kiedy przyjechać na urlop.

- Na pewno. A jeśli zdarzy ci się mieć urlop w październiku, nie zapomnij o odwiedzeniu stolicy województwa. Odbywa się tam w tym czasie doroczne święto winobrania. Jest na co popatrzeć, nie mówiąc już o winie, które leje się wówczas strumieniami. Ale zbliżamy się już do celu.

Tamten dom z prawej strony to właśnie komenda.

W gmachu czekał już na nich komendant powiatowy, major Ratajczak.

- Witam towarzyszy na Ziemi Lubuskiej. Otrzymałem wasze

telefonogramy i przyznaję, że jestem bardzo tym wszystkim zaintrygowany. Ta sprawa wydaje mi się wprost niewiarygodna.

- Jeśli wszystko przebiegnie tak, jak byśmy chcieli, to dziś właśnie powinno nastąpić rozstrzygnięcie - odparł Janowicz. - W związku z tym będziemy musieli prosić was o pomoc. Najpierw jednak pokrótce wprowadzę was w sprawę, abyście zrozumieli, o co nam chodzi. Otóż w sierpniu znaleziono zwłoki pewnego literata w jego własnej willi.

Początkowo śledztwo posuwało się bardzo powoli, gdyż nie mogliśmy znaleźć jakiegokolwiek w miarę racjonalnego motywu. Mimo to już od pewnego czasu wiemy, kto jest mordercą. Na dobrą sprawę mogliśmy go aresztować tydzień temu. Intrygowało nas jednak i intryguje w dalszym ciągu coś innego, bez czego sprawa nie byłaby kompletna. Okazało się bowiem, że morderca zabrał z mieszkania swojej ofiary sztylet. W jednej z naszych hipotez zakładaliśmy, że jest on właśnie kluczem do sprawy, a nawet dosłownie, kluczem otwierającym jakąś skrytkę. Ponieważ nie mieliśmy innego wyjścia, a i niewiele w tym przypadku ryzykowaliśmy, postanowiliśmy tę hipotezę udowodnić. Musieliśmy jednak odnaleźć skrytkę, umieszczoną zapewne w jakimś meblu, ozdobionym wizerunkiem gryfa, który z kolei stanowił rękojeść owego sztyletu. Rozesłaliśmy więc do wszystkich posterunków rysunek gryfa z prośbą o szukanie takiego mebla. Jak to zwykle bywa, otrzymaliśmy informacje bardzo różne, dokładne i niedokładne, niektóre wręcz nie na temat. Najbardziej odpowiadała nam wasza informacja, spełniająca w zasadzie prawie wszystkie warunki. Nic innego nie pozostało, jak poczekać, aż wytypowany przez nas człowiek zacznie realizować swój plan. Był dobrze pilnowany, znaliśmy każdy jego krok. I doczekaliśmy się. Wczoraj wyjechał do Poznania, przenocował i dziś rano wykupił bilet do Dąbrowy. Dlatego tu jesteśmy.

- Jeśli dobrze rozumiem, to pozostała jeszcze jedna niewiadoma, tajemnica skrytki w szafie. Czy tak?

- Właśnie. Ponieważ nie wiemy, co ona zawiera, chcielibyśmy

wykorzystać tych kilka godzin, bo przecież przed nocą sprawca nie podejmie żadnych kroków, by się o tym przekonać. I tu liczymy na waszą pomoc.

- Doskonale. Kustoszem w muzeum jest profesor Alfred Konarski, którego znam bardzo dobrze. Jesteśmy chyba najstarszymi mieszkańcami tego miasta. Ja organizowałem tu miejscową milicję, on zaś zaraz po wyzwoleniu zajął się ochroną zabytków i właściwie zorganizował od nowa życie kulturalne miasta. Obecnie jego jedyną pasją jest muzeum. - Major Ratajczak uznał chyba, że jego wspomnienia nie interesują zbyt rozmówców, bo przerwał nagle i przeszedł do spraw bieżących. - Prawdopodobnie byłoby niepożądane, żeby was widziano na ulicy - spojrzał pytająco na Janowicza, a widząc potakujące kiwnięcie głową kontynuował - proponuję więc takie rozwiązanie-. Uprzedzę żonę i pojedziemy do mnie na obiad, potem wyślę kierowcę do profesora, aby zachekał na nas w muzeum. Dziś jest nieczynne.

- Zgoda. Niech wejdzie jednak tylnymi drzwiami, jeśli takie tam są, i zachowuje się tak, jakby nikogo wewnątrz nie było.

*

Kiedy zjedli obiad, przygotowany przez niezwykle sympatyczną, chociaż nieco onieśmioną żonę komendanta, major Ratajczak zniknął na chwilę w drugim pokoju.

- Dzwoniłem do muzeum - oznajmił po powrocie. - Profesor już tam jest i czeka na nas. Podjedziemy od strony ogrodów przylegających od południowej strony do muzeum. Zastaniemy uchylone drzwi od znajdującego się w piwnicy magazynu. Profesor pozamykał okiennice i nie pali nawet światła. Jest bardzo przejęty.

- A więc nie zwlekajmy - zdecydował Janowicz. - Nie wiadomo, ile czasu zajmie nam poszukiwanie skrytki, a jeszcze musimy wyznaczyć kilku funkcjonariuszy, którzy będą czuwać na zewnątrz, w pobliżu muzeum.

- Kazałem zostać w komendzie kilku ludziom - powiedział Ratajczak.

- Przewidywałem, że będą potrzebni.

- Przepraszam, komendancie, wiem, że jesteście doświadczonym oficerem. *Z muzeum zadzwonicie do komendy i wydacie polecenia.

Ponieważ jesteście gospodarzem terenu, najlepiej potrafcie rozmieścić waszych ludzi.

- W porządku. Włożę tylko cywilne ubranie i możemy jechać.

Po dziesięciu minutach znaleźli się na skraju parku przy szkole tysiąclecia.

Od muzeum dzieliło ich niecałe trzysta metrów.

- Ja poprowadzę - odezwał się Ratajczak. Przeszli skrajem ogrodów, po kamiennych schodkach wspięli się na małe wzniesienie i wkrótce znali - Łzy boga słońca leźli się naprzeciw budynku. Dwa występy muru, połączone u góry małym daszkiem, tworzyły wejście zaopatrzone w ciężkie dębowe drzwi wzmocnione dodatkowo żelaznymi guzami. Ratajczak nacisnął kutą w metalu klamkę i drzwi ustąpiły.

- To pan, komendancie? - dobiegł ich głucho brzmiący głos. - Kontakt jest po lewej stronie. Tylko przedtem proszę zamknąć drzwi.

- Oho - odezwał się półgłosem Zalewski. - Nasz profesor to prawdziwy konspirator.

Zabłyśło światło. Przeszli przez sklepioną piwnicę. U szczytu schodów zapaliła się słaba żarówka. Na tle jasnego prostokąta rysowała się wyraźnie sylwetka kustosza.

Ratajczak dokonał krótkiej prezentacji. Konarski skłonił się poważnie, lustrując ciekawym wzrokiem towarzyszących komendantowi mężczyzn.

- Cały czas tkwiłem obok tej szafy - uśmiechnął się. - W ten sposób byłem pewien, że nic się nie stanie. Poza tym umieram z ciekawości.

- Postaramy się zaraz ją zaspokoić, panie profesorze - odezwał się odwzajemniając uśmiech Janowicz. - Proszę mi wierzyć, że i my nie mogliśmy doczekać się tej chwili. Czy ma pan tu jakieś narzędzia? Mogą być zabytkowe - zażartował.

- Aż tak źle nie jest. Ponieważ domyślałem się, że będziemy szukali skrytki, przygotowałem łom, młotki, obcęgi i kilka innych przedmiotów.

Są w sali, w której stoi szafa. Możemy zaczynać choćby zaraz. Przeszli do następnego pomieszczenia. Konarski przekreślił kontakt.

- Możecie panowie być spokojni. Okiennice są wystarczająco szczelne, a zresztą na dworze jest jeszcze widno. Do zapadnięcia zmroku mamy sporo czasu. Oto szafa, która panów interesuje. Nie jest w najlepszym stanie, gdyż nie przystąpiliśmy jeszcze do konserwacji. Zresztą w przeciwnym razie wiedzielibyśmy już, co skrywa w swoim wnętrzu. Przyznam się, że po otrzymaniu wiadomości od majora Ratajczaka obejrzałem ją dość dokładnie, nie znalazłem jednak żadnego śladu, który by wskazywał na istnienie skrytki. Żadnego otworu czy ruchomej części. Bardziej szczegółowo jednak jej nie badałem, gdyż wolałem z tym poczekać na przybycie panów.

- Poproszę o jakąś przenośną lampę - odezwał się Janowicz podchodząc do mebla. - Musimy jeszcze raz dokładnie ją obejrzeć.

Przypuszczam, że powinniśmy zacząć od zwieńczenia szafy ozdobionego gryfem...

- Właśnie to miejsce szczególnie oglądałem - przerwał kustosz. - Wszystko na nic. To jednolity, solidny kawał drewna. Możemy jednak raz jeszcze spróbować.

- Istotnie. Jeśli to nam nic nie da, rozbierzemy tę szafę na kawałki.

Janowicz wyjął z kieszeni okazałych rozmiarów lupę i scyzoryk o długim, cienkim ostrzu.

- Poświecisz mi - zwrócił się do Zalewskiego. Po kilkunastu minutach, gdy obejrzał przez lupę całego gryfa i sąsiadujące z nim detale zwieńczenia, odsunął się zniechęcony.

- To na nic - westchnął ciężko. - Nie ma innej rady, musimy rozłożyć szafę na części. - Stał nieco z boku i spojrzał raz jeszcze na płaskorzeźbę. - Andrzej! - zawołał nagle - przysuń tę lampę!

Końcem ostrza podważył ostrożnie jedną stronę wypukłości, tworzącej oko gryfa. Kawałek drewna, sprawiający wrażenie miniaturowych drzewiczek, z delikatnym trzaskiem odskoczył do góry. W otworze ukazał się mały metalowy pierścień, którego środek miał kształt sześciokąta.

Janowicz odetchnął.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- To niesłychane - odezwał się wreszcie kustosz. - Muszę się przyznać, że nie bardzo wierzyłem w istnienie czegoś takiego w tym meblu. Pan chyba przeszedł specjalne przeszkolenie w tym kierunku albo ma niesłychanego nosa. W każdym razie gratuluję. - Ciągłe jeszcze kręcił z niedowierzaniem głową.

- No, ale to jeszcze nie wszystko - odezwał się Janowicz. - Musimy się koniecznie dostać do środka. Przydałby się jakiś pręt i ostry pilnik.

Dopasowanie klucza do tego zamka będzie już dziecinnie łatwe.

- Zaraz czegoś poszukam. Mam tu coś w rodzaju pracowni. - Konarski zakrzętnął się żywo i ruszył ku wyjściu z sali. Zalewski wyciągnął papierosy.

- Ani mi się waź! - zawołał Janowicz. - Przecież w muzeum nikt nie pali, a człowiek przychodzący z zewnątrz natychmiast poczuje dym i cała impreza na nic. Zapalimy później w pracowni profesora.

Po kilkunastu minutach wrócił kustosz. W ręku trzymał kilka kawałków mosiężnego i stalowego drutu.

- Myślę, że będziemy musieli przejść do pracowni. Mam tam imadło i parę pilników. Niech pan zmierzy otwór, kapitanie.

Okazało się, że w „pracach ręcznych” niezastąpiony był major Ratajczak.

W krótkim czasie ze stalowego pręta „wyczarował” zupełnie udaną klamkę. Czterej mężczyźni prawie drżeli z podniecenia i niecierpliwości.

- Gotowe. - Ratajczak odłożył pilnik. - W pana ręce, kapitanie. Niech pan otwiera.

Janowicz włożył klucz w otwór i począł delikatnie naciskać dźwignię.

Wstrzymali oddechy. Kiedy pierścień obrócił się o dziewięćdziesiąt

stopni, dał się słyszeć lekki trzask i prawa część gzymsu szafy powoli wsunęła się do środka mebla. Zalewski podsunął się z lampą. W wysokiej na dwadzieścia centymetrów szczelinie ukazał się jakiś kształt. Janowicz włożył rękę w otwór i wydobył niewielką paczkę zawiniętą w cienką skórę i związaną grubym jedwabnym sznurkiem. Węzeł był zabezpieczony dużą woskową pieczęcią.

- Wydaje mi się - powiedział Janowicz - że niezależnie od interesów dochodzenia musimy uwzględnić również zabytkowy charakter tej paczki.

Panie profesorze, może pan spróbuje odwinąć ten pakuneczek. Chodzi o to, aby go nie uszkodzić.

- Trzeba będzie przeciąć sznurek poniżej pieczęci. W ten sposób przekonamy się, co jest w środku.

Po przecięciu sznurka skórzana koperta otworzyła się sama. Wewnątrz znajdowało się dziesięć jedwabnych woreczków, a w każdym z nich sto złotych monet...

- Panowie! Czy wiecie, jak cenne dla naszego muzeum jest to odkrycie?

Pomijam już wartość materialną tego znaleziska. Nie umiem wprost wyrazić swojej radości i zdumienia. Niech mnie pan uszczypnie, majorze, bo jeszcze nie bardzo wierzę swoim oczom. Ale... czy to... czy te pieniądze zostaną w muzeum? - zapytał z nagłym niepokojem w głosie.

- Może być pan zupełnie spokojny. Oczywiście będziemy musieli zabrać paczkę w depozyt, ale po przeprowadzeniu zwykłych w takich razach czynności, jak sfotografowanie i zabezpieczenie śladów, zwrócimy ją panu. Zresztą zostawimy pokwitowanie. - Janowicz od chwili otwarcia skrytki uśmiechnięty teraz nagle spoważniał. - Będą to dowody w sprawie, i to dowody o niebagatelnym znaczeniu. Na razie jednak musimy wszystko zapakować i włożyć do skrytki - ciągnął dalej. - Poza tym najwyższy czas, abyśmy przygotowali się do wizyty człowieka, który od dawna uważa się za właściciela tego skarbu.

- Wobec tego zadzwonię do komendy i wydam polecenia moim ludziom -

oznajmił Ratajczak. - Pan, profesorze, będzie musiał chyba dotrzymać nam towarzystwa?

- Obrazilbym się, gdyby panowie zdecydowali inaczej - zawołał Konarski. - Przecież to fantastyczna przygoda! Drugi raz w życiu nie zdarzy mi się nic podobnego! Do zmroku mamy jeszcze ze dwie godziny, a ponieważ pan major był łaskaw poinformować mnie, z grubsza oczywiście, o charakterze wizyty panów, przygotowałem koszyczek z jedzeniem, kilka butelek piwa i termos z kawą. Po takiej robocie warto się posilić. Potem zapalimy sobie papieroska...

- Właśnie - wtrącił Zalewski. - Ja już nie mogę wytrzymać bez palenia!

- A na jutro zapraszam panów do siebie - kończył kustosz. - Taką okazję trzeba odpowiednio uczcić.

- Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, chętnie do pana zajdziemy - odparł Janowicz.

Na rozmowie czas mijał szybko. Ani się obejrżeli, jak zapadł zmrok.

- Czterech ludzi zajęło stanowiska na zewnątrz -? odezwał się Ratajczak. - Dwóch w fosie zamkowej, jeden w ogrodzie i jeden w parku z drugiej strony muzeum. My również powinniśmy się odpowiednio rozstawić.

- Na podstawie tego, co panowie powiedzieli, podejrzewam, że przestępca był już w muzeum w charakterze zwiedzającego. Orientuje się więc, gdzie stoi szafa. - Profesor starał się pomóc swoim towarzyszom, którzy po raz pierwszy znaleźli się w jego „królestwie”. - Głównymi drzwiami nie wejdzie. Również te, którymi panowie weszli, są bardzo solidne. Jedyna możliwość to okna. Nawiasem mówiąc, od dawna nie mogę doprosić się o kraty. Na razie, jak panowie zapewne zauważyli, zamykamy okiennice, ale to prawie żadne zabezpieczenie. Sala, w której stoi szafa, ma trzy okna.

Teren jest prawie nie oświetlony, bo trudno brać pod uwagę tę jedyną lampę palącą się przy moście na fosie.

- Słusznie. Ja z majorem ukryję się w tej sali - zdecydował Janowicz.

- Ty zaś - dodał zwracając się do Zalewskiego - będziesz z profesorem w sąsiedniej, na wypadek gdyby mu przyszło do głowy wejść innym oknem. A więc uwaga: jeśli przestępca wejdzie do waszej sali, przepuściecie go i zachowacie milczenie. Wasze zadanie będzie polegało na zatrzymaniu go, gdyby usiłował nam się wymknąć. Nie miej takiej zawiedzionej miny. Każde stanowisko jest odpowiedzialne. Przypominam, że od tej chwili obowiązuje bezwzględna cisza i za-kaz palenia. Choćby to wszystko miało trwać do rana.

XVII

Do Dąbrowy przybył kilkanaście minut po dziewiętnastej. Wsiadł z autobusu na placu przed dworcem i, pamiętając dość dokładnie topografię miasta, skierował się z całą grupą przyjezdnych w kierunku śródmieścia.

Robiło się szaro. Przez całą drogę zastanawiał się, jak spędzić czas w tej małej mieścinie, o dość nietypowej porze, by nie zwrócić na siebie uwagi mieszkańców potrafiących - jak to zwykle bywa - odróżnić nawet w tłumie obcą twarz. Grupa podróżnych, idących jak on w stronę rynku, szybko malała. Każdy spieszył do domu. W ten sposób po kilku minutach marszu znalazł się nagle sam. Z daleka czerwono migał duży nie onowy szyld „Eldomu”. Poszedł w tamtym kierunku i okazało się, że wybrał dobrze. Na jednej z ulic przylegających do rynku mieściło się kino.

Wyświetlano francuski film „Rzeźnik”. Zdążył jeszcze wykupić bilet na seans zaczynający się o dziewiętnastej trzydzieści. Bileterka, widząc w jego ręce wypchaną teczkę, zapytała, bez zbytniego zresztą zainteresowania:

- Pan nietutejszy?

- Dlaczego pani tak myśli? - usiłował nadać swemu głosowi obojętne brzmienie.

- Bo nikt tu z teczką do kina nie chodzi, więc sobie pomyślałam...

- Pomyłka, szanowna pani. Naprawiałem telewizor u kolegi i niosę narzędzia.

- A to przepraszam. Rzeczywiście, ostatnio tylu nowych ludzi mieszka w

Dąbrowie. Jeszcze pięć lat temu poznałabym każdego obcego - dodała zamykając drzwi.

Po filmie, by skrócić jakoś czas oczekiwania, wszedł do kawiarni, w której, jak się okazało, było jeszcze sporo osób. Na wszelki wypadek teczkę zostawił w szatni.

Opuścił lokal jako jeden z ostatnich dopiero na hasło „zamykamy”. Na ratuszowej wieży zegar odmierzył jedenaście uderzeń. Postanowił, że dla pewności odczeka jeszcze godzinę. Spacerował ulicami miasteczka, wreszcie trafił nad rzekę i wszedł na wał przeciwpowodziowy, tworzący coś w rodzaju promenady. Szedł brzegiem aż do miejsca, w którym z rzeką łączyła się zamkowa fosa. Wydawało się, że wszystko sprzyja jego eskapadzie: było dość chłodno, co pozwalało przypuszczać, że w zamkowym parku nie będzie zakochanych, zbierające się chmury przysłoniły księżyc, nie paliła się nawet latarnia przy mostku na fosie. Dla pewności okrążył zamek, stwierdzając z zadowoleniem, że w parku nie ma żywej duszy. Teraz już pewnym krokiem podszedł do bielejącej w ciemności ściany muzeum i odliczył trzecie okno od miejsca, w którym gmach ten pod kątem prostym łączył się z budynkiem dawnej kasztelanii. Tak jak przypuszczał, okno od zewnątrz zabezpieczone było drewnianymi okiennicami, które przecinała szeroka żelazna sztaba zamknięta na sporą kłódkę. Przykucnął pod ścianą, wy dobył z teczki skórzane rękawiczki i krótki stalowy łom. Stał chwilę nieruchomo, nasłuchując, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Nic się jednak nie wydarzyło. Wyprostował się więc i włożywszy koniec łomu pod metalową sztabę zaczął ciągnąć drugi koniec zaimprovizowanej dźwigni. Byłoby prościej ukręcić kłódkę, ale on miał zamiar po wyjściu z muzeum wcisnąć skobel na swoje miejsce, by w ten sposób opóźnić odkrycie włamania. Skobel wyszedł spomiędzy cegieł znacznie łatwiej, niż przypuszczał - tak łatwo, że ledwie zdążył podtrzymać ręką żelazną sztabę, by nie upadła na ziemię.

Na wszelki wypadek wytarł rękawiczką obuwie, na którym mógł osiąść

wapienny pył, i włożył koniec łomu między skrzydła okienne. Rygiel ustąpił prawie bez oporu. Droga do wnętrza stała otworem. Był teraz zupełnie spokojny. Schował łom do teczki i z łatwością przesadził niski parapet. Wychylił się jeszcze na zewnątrz i przymknął okiennice. Teraz wyjął latarkę elektryczną i oświetlił wnętrze sali. Z ciemności wyskoczyły powiększone cienie oświetlonych ukośnie przedmiotów. Zgasił światło i stał chwilę bez ruchu, słuchając, czy nic się nie wydarzy. Wszędzie jednak panowała niczym nie zmacona cisza. Uspokojony zupełnie zapalił ponownie latarkę i przyświecając sobie skierował się w prawy koniec sali, gdzie pod ścianą stała szafa z gryfem na zwieńczeniu. Teraz ruchy jego były szybkie, opanowane i precyzyjne. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl owinięty w chusteczkę sztylet. Nieomylnym ruchem podważył oko gryfa i przyłożył do niego sztylet. Powoli przekręcał cały czas świecąc latarką i obserwując szafę. Aż do ostatniej chwili nie wiedział, jaki jej fragment odsłoni mu tajemnicę schowka. Wreszcie skrytka otwarła się.

Sięgnął ręką do wnętrza. Palce wyczuły jakiś przedmiot. Wyciągnął niewielką paczkę...

Wtedy na sali zabłyśły wszystkie światła. Za plecami usłyszał głos: „Milicja. Nie ruszać się!”

*

Kiedy doprowadzono go z aresztu do gabinetu kapitana Janowicza, usiadł na krześle ze spuszczoną głową. Wydarzenia tamtej nocy były dla niego całkowitym zaskoczeniem. Teraz jednak był przekonany, że nie zdołają mu nic udowodnić. Oczywiście poza włamaniem do muzeum. Czekali na przybycie prokuratora, który miał rozpocząć przesłuchanie. Przekona się wówczas, jakie zarzuty zostaną mu przedstawione.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Wydawało mu się, że siedzi tu już parę godzin. Drgnął, kiedy zadzwonił telefon. Janowicz powiedział do słuchawki parę słów i za chwilę do pokoju wszedł wysoki, postawny mężczyzna, którego

kapitan przedstawił jako wiceprokuratora wojewódzkiego. Po spisaniu danych personalnych przedstawiono mu zarzuty. Ośłupiał zupełnie. Jak przez warstwę waty docierały do niego słowa: „... o to, że w dniu... w Modrzewiu, działając w zamiarze pozbawienia życia Piotra Wenera... to jest o czyn przewidziany w artykule 148 § 1 kodeksu karnego...”, poczuł, jak koszula przylepia mu się do pleców. Ale to nie był koniec. Prokurator zarzucił mu usiłowanie zabójstwa Klary Nowickiej, kradzież z włamaniem, próbę zagarnięcia mienia społecznego i... doszedł do wniosku, że chyba tylko cud może go uratować. Nie stracił jednak pewności siebie. Na pytanie prokuratora, czy przyznaje się do wymienionych przestępstw, oświadczył, że to jakaś tragiczna pomyłka. Owszem, włamał się do muzeum w Dąbrowie, gdyż chciał sprawdzić, czy znajdzie w szafie guldeny, ale poza tym do żadnej winy się nie poczuwa i nie ma nic do wyjaśnienia. To jakaś pomyłka.

Może odpowiadać za włamanie, ale za nic więcej.

Prokurator spokojnie wysłuchał jego słów, a następnie podsunął do podpisania protokół, oświadczając, że na razie zostaje zatrzymany, a w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zapadnie decyzja go do ewentualnego aresztowania. Podpisał, ale mimo to powtarzał półgłosem, że padł ofiarą jednej z największych pomyłek aparatu sprawiedliwości. Oczywiście, do aresztu pójdzie - nie będzie stawiał oporu, ale natychmiast napisze zażalenie do Prokuratury Generalnej.

Następnego dnia Janowicz postanowił ujawnić zatrzymanemu kilka szczegółów, sądził bowiem, że wyrze to na nim odpowiednie wrażenie.

Gdy zapytał o sztylet znaleziony przy nim w Dąbrowie, usłyszał, że był to prezent od Piotra. Oskarżony tłumaczył, że obiecał Wenerowi inny bibelot do kolekcji i ten chętnie zgodził się na zamianę. Było to wkrótce po przyjęciu. Do innych zarzutów kategorycznie się nie przyznaje. Żąda konfrontacji z innymi znajomymi Wenera.

Widząc, że rozmowa przedłuża się i nic nie wskazuje na to, że przyniesie pożądane rezultaty, Janowicz polecił odprowadzić zatrzymanego do celi.

- Jutro przystąpimy do głównego szturmu - oświadczył Zalewskiemu.

- Sądzę, że nasz klient dojrzeje już do tego. Dałem mu trochę materiału do przemyśleń. Potem zrobimy wizję lokalną. Chyba najdalej za dwa tygodnie oddamy akta do prokuratury.

*

Kierując sprawę do prokuratury Janowicz przypomniał sobie o obietnicy danej Korytowskim. Wiedział, że Katarzyna czekała z niecierpliwością na ten dzień, kiedy Janowicz, korzystając ze zwykłego w takich razach „luzu”, przyjedzie do nich i opowie o szczegółach śledztwa.

Nadszedł wreszcie taki moment. Gdy po grzecznie zjedzonej kolacji Piotruś obejrzał kolejne przygody ulubionego Cypiska i został ułożony do snu, uroczą gospodyni wróciła do pokoju, wyłączyła telewizor i usiadła wygodnie w fotelu na znak, że jest gotowa do wysłuchania długiej i frapującej opowieści.

- Powszechną bywa opinia - zaczął z uśmiechem Janowicz - zwłaszcza po wyjaśnieniu sprawy, że była ona szalenie prosta. I chyba jest tak w istocie. Sprawy, które prowadzimy, prawie zawsze są proste. To my je komplikujemy, naturalnie bezwiednie, a potem sami, patrząc na swoje działania z perspektywy czasu i... popełnionych błędów, dziwimy się, jak można było tak wszystko pogmatwać. To jest moja teoria, wypracowana na własny użytek, ale pozwala mi ona spojrzeć na każdy problem niejako od końca. Niektórzy upatrują w tym tajemnicę moich sukcesów.

Naturalnie, nie jestem jasnowidzem. Pracuję ciężko sam i korzystam ze żmudnej i często niewdzięcznej pracy wielu osób oraz z pomocy naszego stale doskonalonego naukowo-technicznego zaplecza. W tym miejscu zastrzec sobie muszę prawo do pominięcia niektórych sposobów i metod, jakimi posługiwaliśmy się, ustalając fakty; dla ciągłości fabuły nie mają one jednak większego znaczenia.

- To oczywiste - wtrącił milczący dotąd Marek.

- Piotr Werner, starzejący się literat, miał ostatnio wżyciu dwie wielkie

słabości: stare i nie zawsze cenne bibeloty oraz młode i atrakcyjne przedstawicielki płci pięknej. - Janowicz po przydługim nieco wstępie przeszedł do szczegółów ostatniej sprawy. - Szczególnie utkwiała mu w sercu jedna, w której zakochał się naprawdę. O ile był on zdolny do tak głębokiego uczucia. - Janowicz uśmiechnął się sceptycznie. - Od tego momentu w życiu naszego literata nastąpił pewien przełom; zaczął przeżywać drugą młodość, co, nawiasem mówiąc, nie odbijało się zbyt korzystnie na jego twórczości. Są artyści, których miłość uskrzydla, dodaje im fantazji, dostarcza tematów, ale widać Werner do takich nie należał. Proszę wybaczyć mi te niezbyt związane ze sprawą dygresje, ale sądzę, że pani Katarzyna, jak każda kobieta, chciałaby zapewne poznać i sercowe perypetie moich „podopiecznych”. Poza tym sprawy te przyczyniły się w dużym stopniu do pogmatwania śledztwa i właśnie one wydawały się nam w początkowej fazie motywem przestępstwa. Jak się jednak później okazało, wiodącą rolę w towarzystwie, którym zajęliśmy się, odgrywał przede wszystkim pieniądz. Przejdźmy jednak do rzeczy. Otóż blisko dwa lata temu pewien pan, spędzając urlop w jednej z nadmorskich miejscowości, znalazł przypadkowo w bibliotece właściciela domu osiemnastowieczny rękopis, z którego dowiedział się o pieniądzech schowanych w skrytce gdańskiej szafy. Kluczem otwierającym skrytkę miał być ozdobny sztylet z ornamentacją jak na zwieńczeniu szafy. Nasz pan X, bo tak będziemy go przez pewien czas nazywali, od razu poczuł się właścicielem sporego majątku. Od tej chwili żądza pieniędzy stała się jedynym motorem jego postępowania. Każdą wolną chwilę poświęcał na podróże po kraju, szukał niezmordowanie gdańskiej szafy. Jak to w życiu bywa dopomógł mu przypadek: znalazł szafę w miasteczku na zachodzie Polski. Pierwsza część zadania została więc wykonana. Pozostało jeszcze odnalezienie klucza, czyli sztyletu. Nie mogąc dokładnie zbadać szafy, stała bowiem w muzeum, nie wiedział, że skrytkę można było otworzyć zwykłym drutem. Szukał więc sztyletu, drżąc ciągle z obawy, że szafa zostanie poddana zabiegom konserwatorskim i w ten sposób skarb przejdzie mu koło

nosa. I znowu przypadek przyszedł mu z pomocą. W jednym ze sklepów „Desy” zauważył sztylet, ale nie zdążył go kupić, bo przeszkodził mu w tym najzwyczajniejszy remanent. Właścicielem „klucza” został nie kto inny jak Piotr Werner, wzbogacając w ten sposób o jeszcze jeden przedmiot swoją kolekcję. Oczywiście X nie szuka legalnej drogi uzyskania sztyletu; znając Wenera osobiście mógłby prawdopodobnie bez większego trudu odkupić lub otrzymać w prezencie interesujący go przedmiot. On wybiera inną drogę. Korzystając ze znajomości z pisarzem, umawia się z nim pewnego wieczoru w warszawskiej kawiarni, ale na spotkanie nie przychodzi.

Włamuje się do mieszkania Wenera, licząc na to, że znajdzie tam sztylet.

Niestety, nie wie o tym, że pisarz nosi go ze sobą. Jest na tyle bezczelny i pozbawiony skrupułów, że z gabinetu Wenera telefonuje do kawiarni i przeprasza, iż nie może przyjść na umówione spotkanie.

- Jak pan wpadł na to, że to ten sam człowiek? - nie wytrzymała pani Katarzyna.

Janowicz uśmiechnął się. - Przestępca działał w rękawiczkach, by nie zostawić śladów linii pa pilarnych. Przez przypadek zostawił jednak ślad: odcisk dłoni w rękawiczce na błyszczącym blacie biurka. Nawiasem mówiąc rękawiczek tych używał aż do chwili zatrzymania. Badania porównawcze dostarczyły nam jeszcze jednego niezbitego dowodu jego przestępczej działalności.

Jednak w tym czasie nie było żadnego powodu do alarmu; Werner wprawdzie zawiadomił milicję o włamaniu, ale sam zbagatelizował sprawę, gdyż z mieszkania nic nie zginęło. Milicja zaś, co jest w tej sytuacji dość zrozumiałe, wobec braku materiałów odłożyła sprawę do archiwum. Jednak kierownik ekipy, solidny i rzetelny pracownik, polecił zabezpieczyć ślad na biurku i dołączył go do akt. Dowód ten, wówczas prawie bez znaczenia, został we właściwej chwili odpowiednio przez nas wykorzystany.

Janowicz był już nieco znużony swą opowieścią, ale widząc błyszczące

oczy Katarzyny i żywe zainteresowanie przyjaciela ciągnął dalej: - W tym czasie wraca do kraju znajomy i sąsiad Wenera w Modrzewiu, Adam Hornet. Po rocznej nieobecności w Polsce postanowił wydać dla przyjaciół przyjęcie. Wśród zaproszonych znalazł się oczywiście Werner i nasz pan X. Obowiązki pani domu pełniła narzeczona Horneta, Klara, która w czasie jego egzotycznych wojaży obdarzała swymi wdziękami przyjaciół przyszłego męża, a szczególnie Piotra Wenera. Postanowiła wyciągnąć z tych znajomości maksimum korzyści i udało jej się to w zupełności. Dla niej liczyły się tylko pieniądze i biżuteria. Złoto. „Łzy boga słońca”, jak poetycznie określił ten kruszec Adam Hornet.

Nie ma jednak jak usłudni przyjaciele. Zaraz po przyjeździe Adama jeden z nich, Henryk Czerniak, poinformował go o przygodach sercowych Klary, która raczej niewiele ma wspólnego z Penelopą. Dziś wiemy, że Czerniak nie wytrzymał konkurencji z zamożniejszym Wenerem i po początkowych sukcesach musiał wycofać się z gry. Sądząc, że i tak wszystko się w końcu wyda, postanowił u-przedzić ewentualne pretensje „poszkodowanego” i oddalić od siebie podejrzenia. Jak łatwo przewidzieć, podczas przyjęcia doszło do ostrej scysji między Hornetem a Wenerem, sprowokowanej oczywiście przez gospodarza. Zanim jednak do tego doszło, nastąpiło drobne zdarzenie, które miało później ogromne znaczenie dla śledztwa...

Otóż przy jakiejś okazji Wenerowi wypadł z aktówki ozdobny sztylet.

Wyobrażacie sobie chyba, co czuł pan X, który musiał obejrzawszy upragniony przedmiot zwrócić go z obojętną miną właścicielowi.

Jednocześnie uzyskał jednak bardzo ważną informację: Werner wspomniał, że nie rozstaje się ze sztyletem i nosi go zawsze przy sobie.

Wtedy właśnie, nie wiedząc o tym, wydał na siebie wyrok śmierci...

- To brzmi nieprawdopodobnie - westchnęła Katarzyna. - Zamordować człowieka, by zdobyć sztylet!

Janowicz spokojnie przyjął tę uwagę. Nie dziwiło go oburzenie młodej kobiety. Na jej miejscu każdy by tak zareagował.

- W kilka dni później gospośnia Wenera powiadamia o śmierci swego pracodawcy - podjął swą opowieść. - Nasz lekarz stwierdził ranę tłuczoną głowy i ranę kłutą klatki piersiowej, zadaną, ogólnie mówiąc, wąskim ostrym narzędziem, które doszło do serca. Na razie nie było w tym nic nadzwyczajnego. W zdumienie wprawiła nas dopiero urzędowa ekspertyza, według której śmierć Wenera nastąpiła wskutek... uduszenia.

Tak. W pierwszej chwili nie mogłem tego zrozumieć i już byłem gotów podejrzewać pomyłkę. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, przeczytawszy, że uduszenie nastąpiło wskutek wprowadzenia do organizmu silnej trucizny, kurary. Skąd ta trucizna? Dlaczego morderca postanowił działać w tak niezwykle i skomplikowany sposób? Dodam, że zanim otrzymaliśmy ekspertyzę, nie siedzieliśmy z założonymi rękami. Przesłuchaliśmy kilkadziesiąt osób, w tym wszystkich, którzy brali udział w przyjęciu u Horneta.

Janowicz nie przerywając swojej opowieści obserwował słuchaczy.

Katarzyna, zarumieniona z wrażenia, co jakiś czas otwierała usta, jakby chciała mu przerwać, zadać jakieś pytanie. Marek 'siedział milczący i zadumany. Zainteresowanie słuchaczy działało jak doping. Opowiedział więc dość dokładnie o powtórnej rozmowie z Klarą Nowicką, w czasie której dowiedział się o nieudanym zamachu na jej życie, wspominał też o strzałach przywiezionych przez Horneta z Ameryki Południowej i o tym, że w czasie wizyty w domu Horneta obejrzał to przypuszczalne narzędzie zbrodni dość dokładnie i przekonał się, że w worku jest tylko trzynaście strzał.

- Wszystko wskazywało na to, że mordercą jest Hornet. Miał on jednak niepodważalne alibi...

- Podejrzewał więc pan Horneta - nie wytrzymała Katarzyna - ale przypuszczam, że miał pan również innego kandydata. A skoro tak, to w jaki sposób stał się on właścicielem tych dwóch strzał?

- Zanim odpowiem na to pytanie, posunę jeszcze trochę naprzód akcję.

Kiedy bowiem zrozumiałem, jak doszło do kradzieży strzał, wiedziałem

już, kim był sprawca - uśmiechnął się Janowicz. - Otóż jednym z sąsiadów Wenera był pewien emerytowany nauczyciel, bardzo inteligentny i spostrzegawczy pan - kontynuował. - Kiedy przyjechałem z ekipą na miejsce zbrodni do Modrzewia, znajdował się on wśród kilkunastu osób stojących, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, przed willą i komentujących zdarzenie. On to właśnie skłonił gospozię Wenera do natychmiastowego zawiadomienia milicji. Byłem wtedy bardzo zajęty, ale zarejestrowałem gdzieś w pamięci jego słowa, że gdyby milicja jeszcze czegoś potrzebowała, to on jest do naszej dyspozycji. Przypomniałem sobie o tym dość późno, ale było to nawet dogodnie, bo miałem czas na opracowanie z grubsza teorii tej zbrodni. W rozmowie staruszek wyjawiał mi prawdziwą rewelację: wstaje zwykle o siódmej rano, je śniadanie, a potem przy kawie czyta poranne gazety. Tak też było i w owym krytycznym dniu. O godzinie, w której według naszych wyliczeń zostało popełnione morderstwo, widział mężczyznę wchodzącego do willi Wenera. Odległość była zbyt duża, by mógł rozpoznać owego człowieka, ale za pamiętał, że niósł pod pachą długi walcowaty przedmiot. Nie zauważył, kiedy ów mężczyzna opuszczał willę, gdyż niczego oczywiście nie mógł przeczuwać i nie zwracał specjalnej uwagi na to, co dzieje się wokół domu sąsiada. Był więc jedynym człowiekiem, który widział mordercę na chwilę przed popełnieniem zbrodni. Wiedziałem, że morderca musiał mieć przy sobie strzałę, a więc przedmiot długi i zwracający uwagę, musiał go wnieść do mieszkania ofiary i wynieść. Jak? Oczywiście w owym „długim walcowatym przedmiocie”, którym była zwykła tekturowa tuba do przechowywania rysunków technicznych. Taką tubą mógł posługiwać się bez zwrócenia uwagi tylko...

- Inżynier Czerniak! - zawołała Katarzyna.

- Brawo, pani Kasiu! To był właśnie on. Zresztą w podobny sposób ukradł strzały Hornetowi, korzystając z chwili, kiedy ten wyszedł do kuchni zaparzyć kawę. Ale przecież Czerniak miał alibi. Wprawdzie przyszedł w tym dniu później do pracy, ale odbywał w tym czasie rozmowę ze swoimi

znajomymi, których nazwiska nam podał.

Przesłuchałem tych znajomych i co się okazało? Rzeczywiście byli oni rano u Czerniaka, ale ich rozmowa trwała dosłownie cztery minuty.

Wyjaśniła się więc jeszcze jedna niewiadoma: otwarty samochód Wenera stojący na drodze przed willą. Już na wstępie rzucił się nam w oczy brak kluczy oraz jakichkolwiek linii papilarnych wewnątrz wozu, co oznaczało, że ktoś, komu na tym musiało zależeć, pieczołowicie je pousuwał. A Czerniak musiał działać szybko, by jego alibi mogło mieć sens. Po dokonaniu zabójstwa pojechał samochodem Wenera do Warszawy na umówione wcześniej spotkanie. Pokazał się tylko znajomym, bo chodziło o odebranie od nich jakichś rysunków, i natychmiast odstawił wóz do Modrzewia. Nie przypuszczał, że uda nam się podważyć jego alibi. Tymczasem tego ranka kręcono film dokumentalny w okolicy jego mieszkania. Na kilku klatkach filmu został uwieczniony samochód Wenera, a porównanie czasu kręcenia filmu z czasem zbrodni dostarczyło nam nowych ważnych poszlak. To wszystko trwało oczywiście dłużej niż moje opowiadanie. Faktem jest, że Czerniak, nie niepokoiony, poczuł się zbyt pewny siebie. Właściwie mieliśmy już wtedy wystarczającą ilość dowodów przeciwko niemu, aby prokurator wydał nakaz aresztowania, ale postanowiłem wyjaśnić do końca motyw zbrodni. Dzięki tobie, Marku, postawiłem hipotezę, że istnieją gdzieś jakieś przedmioty, które dla Czerniaka miały wartość ludzkiego życia, bo w tamtej fazie śledztwa nie wiedziałem jeszcze, że chodzi o ukryte w gdańskiej szafie pieniądze. Zastawiłem więc na niego pułapkę, która jak już wiecie, całkowicie zakończyła sprawę z czysto kryminalnego punktu widzenia. Jednak złapany na gorącym uczynku Czerniak wykazał ogromne opanowanie i początkowo przyznał się tylko do tego włamania. Gdy stopniowo zaczęliśmy go zapoznawać z zebrany materiałem dowodowym, uznał, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu i przyznał się do wszystkiego, podając swoją wersję wydarzeń, na ogół zgodną z naszymi ustaleniami. I to już jest finał sprawy. Samo życie dowiodło, do czego może doprowadzić bezwzględna pogoń za pieniędzmi.

Osobiście cieszę się, że doprowadziliśmy śledztwo do końca i że mam to już za sobą. Do następnej sprawy... Myślę, że zaspokoilem ciekawość pani Katarzyny?

Był zmęczony, ale wiedział, że nastrój przygnębienia minie już jutro. Ta sprawa niczego nie kończyła - najwyżej kolejny dzień pracy.

Czerniakiem zajął się prokurator, a on zacznie nowe poszukiwania.

Korytowscy pożegnali go serdecznie. Jak zwykle zapewnił Katarzynę, że w najbliższym czasie odwiedzi ich ponownie. Wyszedł na ulicę. Było jeszcze ciepło, ale nieprzyjemny deszcz zapowiadał nadchodzącą jesień.

Zapiął szczelnie płaszcz. Z satysfakcją odnotował, że coraz więcej samochodów jeździ na światłach mijania. Szedł powoli w kierunku przystanku, gdy przejeżdżająca ciężarówka chlusnęła strugą błota.

Nagle w pobliżu latarni, na skraju chodnika, dojrzał połyskujący przedmiot. Schylił się i z małej kałuży wyciągnął dwudziestogroszową monetę. Uśmiechnął się, otrząsnął ją z wody i schował do kieszeni. Na szczęście...